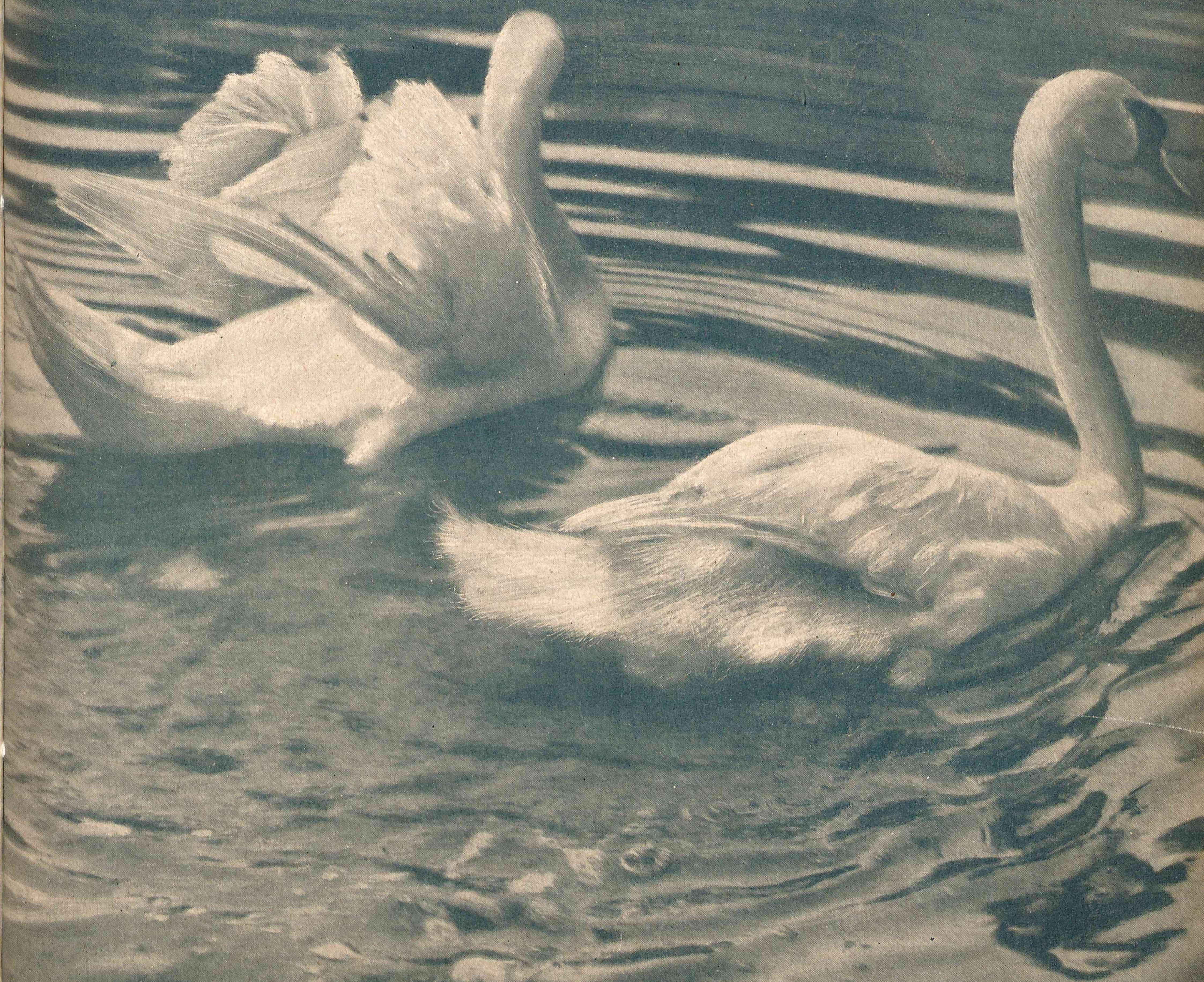
Nr. 23 - 8 - VI - 1929

ŚWIAT



MOTYW Z PARKU ŁAZIENKOWSKIEGO. FOT. WACŁAW KONARZEWSKI

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV

ŚWIAT

NR 23

WARSZAWA, DNIA 8-go CZERWCA 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

ZISZCZENIE MARZEŃ

W pierwszych latach istnienia szkoły polskiej żyliśmy zachwytem, że oto wreszcie mamy własne uczelnie, zgodne z duchem i aspiracjami narodu, przesiąknięte patryjotyzmem, szerzące znajomość ziemi, dziejów, języka, całej kultury polskiej. Żyliśmy w ekstazie szkolnej. Szkoła polska była świętością narodową, której krytykę uważanoby za profanację, a dążenie do jej ulepszeń za niepotrzebne, nawet niedopuszczalne manjactwo.

Trzeba było kilku lat, aby oswoić się z myślą posiadania szkół własnych i uznać je za rzecz normalną. Dopiero wtedy na porządku dziennym szkolnictwa stanęły zagadnienia pedagogiczne i metodyczne. Dziś one panują wszechwładnie.

Na Powszechnej Wystawie Krajowej znaczną część Pałacu Rządowego zajmuje Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a wśród zgromadzonych przez nie okazów najwięcej miejsca poświęcono przeglądowi dorobku niepodległego Państwa Polskiego w dziedzinie szkolnictwa powszechnego i średniego.

Idąc za prądem jednolitości szkoły, nie rozgraniczono tych dwóch stopni. Zadowolono w ten sposób słuszną doktrynę demokratyczną, ale propagandzie jej uczyniono mimowolną szkodę. Daleko bowiem więcej zrobionoby dla rehabilitacji szkoły powszechnej i przełamania uprzedzeń do niej sfer inteligenckich, gdyby można było porównać poziom i wyniki nauczania wychowanków obu kategorji szkół, będących w tym samym wieku. Tymczasem pomieszanie w poszczególnych działach eksponatów ze szkół powszechnych i średnich utrudnia to zadanie. I trzeba dopiero bardzo skrupulatnych dociekań, odczytywania napisów i etykietek informacyjnych, aby wykryć zgoła nieoczekiwane zjawisko, że szkoły powszechne wysoko uorganizowane (siedmioklasowe) naogół nie ustępują odpowiednim klasom szkół średnich, a w pewnych wypadkach — naprzykład w zakresie nauki o Polsce, w robotach ręcznych, w rysunkach — przedstawiają się na Wystawie nawet bogaciej. Wysoki poziom szkolnictwa powszechnego w większych miastach, przedewszystkiem w Warszawie, — oto pierwsza, rzucająca się w oczy, cecha pokazu szkolnego.

Drugiem dodatniem zjawiskiem, uwidocznionem na Wystawie, jest zastąpienie nauczania werbalnego i pamięciowego metodą poglądową i doświadczalną. Ideę tę zademonstrowano z istną pedanterją. Zgromadzono nietylko przyrządy do ćwiczeń fizycznych i chemicznych, okazy przyrody martwej i żywej, aparaty meteorologiczne, mapy plastyczne, niezliczoną ilość wykresów, modeli, albumów i rysunków do nauki geografji, historji, matematyki, ale pokazano też pomoce naukowe przy wykładzie języków, literatury i religji, zwłaszcza dział filologji klasycznej przedstawia się interesująco.

Kto mordował się nad tajnikami konjugacji greckich i deklinacji łacińskich w szkole zaborczej, nie pojmując, poco ma się uczyć na

pamięć setek wyjątków i nieprawidłowości, zanim zdołał opanować odmiany regularne, ten z ulgą zobaczy, że dzieci jego będą zaznajamiały się przedewszystkiem z kulturą antyczną, oraz z jej związkiem z ogólnemi dziejami ludzkości i z życiem teraźniejszem. W ten sposób martwe języki ożywają, zaczynają nas interesować i zamiast odrazy i nienawiści, którą budziły dawniej, pociągają do coraz głębszych studjów. Czyż chłopiec nie zainteresuje się Helladą i Romą, gdy zobaczy używane tam maszyny oblężnicze, modele fortec, insygnia wojenne, szyki bojowe, a dalej świątynie, teatr starożytny, domy i ulice miast, o których można dowiedzieć się z Cezara czy Xenofonta?

Matematyka ma opinję nauki suchej i sztywnej. Jakiegoż jednak nabiera ona uroku dla młodzieży, gdy zamiast pisanych formuł i długich kolumn cyfr ma do czynienia z modelami i bryłami, z przyrządami nomograficznemi, z wykresami i ilustracjami wzorów matematycznych. A gdy wszystkie te pomoce nauczyciel wykonywa wraz z uczniami, każde twierdzenie geometryczne i każde równanie algebraiczne staje się żywem zagadnieniem, niemal własnem odkryciem.

Czem jest pomysłowość nauczyciela w nauczaniu, widzi się bodaj najlepiej w dziale geografji. Tu już niema jakiegoś jednego systemu nauki poglądowej: — każdy wykładowca ma własną metodę, przeprowadzaną konsekwentnie i uwydatnioną w sposób wyczerpujący. Obfitość, rozmaitość i wielostronność tych pomysłów świadczy o wielkiem zamiłowaniu naszego nauczycielstwa do swego zawodu. Jest to chyba najbardziej uderzająca strona Wystawy Szkolnej. Widać, jak zapomocą prostych środków, tanim kosztem, dostępnie dla szkół powszechnych, można wytworzyć imponujący komplet przyrządów do nauki geografji, kosmografji, fizyki, matematyki. Wystawiono całe pracownie fizyko-chemiczne, stacje meteorologiczne, gabinety przyrodnicze, których nabycie nie przekracza finansowych możliwości przeciętnej gminy.

A obok pomysłów nauczycieli występują prace, dokonane przez uczniów, indywidualnie lub zbiorowo. Oto jakieś gimnazjum wystawia wspaniały kajak rzeźbiony i malowany, o klasycznych wymiarach, zbudowany przez ośmioklasistów, zamiłowanych w sporcie wioślarskim. Inne gimnazjum nadesłało piękne album, przedstawiające w dokładnych planach i obliczeniach pobliski kanał ze wszystkiemi śluzami, skrupulatnie wymierzonemi i opisanemi. Jest to już dzieło monograficzne o wartości naukowej. Inne eksponaty mają charakter artystyczny (w dziale robót ręcznych), propagandowy, (model chaty łowickiej, zbiór lalek w kostjumach ludowych), lub historyczny (gablotka z pamiątkami po bitwie pod Olszynką, zebranemi przez uczniów szkoły powszechnej w Grochowie), wspaniałe są kolekcje motyli, ptaków, jaj, zielniki, akwarja, terrarja, wreszcie preparaty biologiczne, wykonane przez samych uczniów.

Niesposób wreszcie opisać wszystkich działów; rysunki, roboty ręczne chłopców i dziewczynek, śpiew, gimnastyka — wymagałyby specjalnego omówienia. Wobec nacisku, jaki się obecnie robi na wychowanie fizyczne i umuzykalnienie młodzieży przez śpiew chóralny, te dwie zwłaszcza dziedziny wzbudzają wielkie zainteresowanie. Z przyjemnością można skonstatować zupełny przewrót w nauczaniu gimnastyki. Zamiast dawnej mustry, stosowanej szablonowo do wszystkich dzieci bez różnicy płci, obecnie nastąpiło zróżniczkowanie. Dla dziewczynek ćwiczenia gimnastyczne połączone są z plastyką, wyrabia to zgrabność ruchów, giętkość kibici i poczucie rytmu. Chłopcy, obok siły, muszą też wykazywać elastyczność i elegancję. Śpiew chóralny traktowany jest bardzo poważnie, co niewątpliwie przyczyni się do umuzykalnienia naszego narodu w najszerszych warstwach.

Osobno należy wspomnieć o metodzie wychowawczej, dającej rozległe pole organizacjom młodzieży i przygotowującej ją do życia społecznego i obywatelskiego: samorząd uczniowski, sklepiki spółdzielcze, kasy oszczędności, prasa szkolna, harcerstwo — składają się na pełny obraz samodzielnego życia młodzieży w szkole.



To też staje się ona coraz więcej przedmiotem ukochania i przywiązania u dzieci. Kształci je i wychowuje. Robi to — jak wykazuje obecna Wystawa Poznańska — dobrze, coraz lepiej, w pewnych dziedzinach i miejscowościach — doskonale. A takich szkół mamy już setki i tysiące.

Pewnie, że nie osiągnęliśmy jeszcze szczytów. Wiele szkół nie odpowiada temu poziomowi, jaki widzimy na Wystawie, sporo dzieci wcale się jeszcze nie uczy. Ale jeśli sięgniemy pamięcią wstecz, — jakąż przebyliśmy olbrzymią przestrzeń! W roku 1910/11 na terenie obecnych pięciu województw centralnych uczniowie szkół początkowych stanowili zaledwie 19,4% ogólnej liczby dzieci w wieku szkolnym. W roku 1921/22 już 61,8%, w roku zaś 1927/28 — 90,2%.

Lat temu dwadzieścia ukazała się w Krakowie książka zbiorowa, nosząca tytuł: „Na nową szkołę". Zainicjował ją Żeromski celem zebrania funduszów na budowę wzorowej szkoły — ochrony w Nałęczowie. Na książkę tę złożyły się między innemi utwory: Prusa, Kasprowicza, Żeromskiego, Przybyszewskiego, Konopnickiej, Danilowskiego, Feldmana, Micińskiego, Ostrowskiej, Sieroszewskiego, Orkana, Staffa, Witkiewicza... — Tyle znakomitych nazwisk, tyle pierwszorzędnych gwiazd naszej literatury ofiarowało swe prace — „na nową szkołę" — na jedną szkołę polską z języka i ducha. O więcej nie śmiano nawet marzyć.

I oto nie upłynęło ćwierćwiecze, a szkoły takie, i bezwątpienia nawet lepsze, mamy we wszystkich znaczniejszych miastach i osiedlach, rozsianych po całej zjednoczonej Polsce. Wysiłek, wykonany w ciągu dziesięciolecia od wskrzeszenia Rzeczypospolitej w dziedzinie szkolnictwa ogólnego, należy do najpotężniejszych przejawów naszej energji twórczej, a jest tembardziej godny podniesienia, że dotyczy nietylko ilościowego rozwoju ich, ale też udoskonalenia jakościowego. Marzenia Wielkich Duchów, które składały arcydzieła pióra — „na nową szkołę" w Nałęczowie, ziszczają się w rozmiarach stokroć większych od najśmielszych ich przewidywań.

W. Giełżyński

REWIZYTA POLSKIEGO MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH W BUDAPESZCIE: ENTUZJASTYCZNE PRZYJĘCIE PRZEZ RZĄD I SPOŁECZEŃSTWO



Adm. Horthy, minister August Zaleski, książę Festetich w przyjemnej pogawędce podczas „garden party“, wydanem przez głowę państwa węgierskiego ku czci naszego ministra

Minister August Zaleski w towarzystwie min. spraw zagr. Węgier L. Walko i dyplomatów, posła francuskiego de Vienne i posła hiszpańskiego Garcia de Real

NA WIDNOKRĘGU

KŁOPOTY REWIZYTY PAPIESKIEJ

Pogodzenie Watykanu z Kwirynałem wkracza w fazę ostatecznych posunięć: układy laterańskie zostały już ratyfikowane przez izby włoskie. Obecnie pozostaje już tylko podpis królewski, jaki Wiktor Emanuel ma położyć, ratyfikacja przez Papieża, oraz ostatni uroczysty i oczekiwany przez masy akt — wizyty dworu królewskiego w Watykanie i wyjście papieża poza mury dotychczasowego więzienia.

Wówczas akt pogodzenia będzie już dokonany we wszystkich swych szczegółach i ciążący nad Włochami cień nieporozumienia, mącący radosne słońce Italji, należeć będzie do przeszłości, a imiona Piusa XI i Mussoliniego pozostaną na wieki, jako dwa wielkie polityczne nazwiska. Nie wszystkie jednak jeszcze trudności usunięto. Ostatnie mowy Mussoliniego i Papieża zawierały dość twarde akcenty, były to ostatnie wyjaśnienia sobie przyszłości, która niewątpliwie, dzięki tym dwum wybitnym indywidualnościom, ułoży się jaknajlepiej pomiędzy dwoma wzgórzami Rzymu. Do trudności jednak jeszcze nie usuniętych należą niektóre protokólarne, a więc najważniejsze zagadnienie rewizyty papieskiej.

Procedurę wizyty królewskiej już ustalono — będzie zastosowany regulamin wizyt dworu hiszpańskiego. Według tego wzoru, królestwo włoscy wraz ze wszystkimi księżniczkami krwi oraz z książętami przyjęci będą w Watykanie.

Trudniej jest z rewizytą. Sam jej fakt stworzy precedens, iż Papież będzie musiał rewizytować i innych królów katolickich, przybywających doń w hołdzie. Napewno król hiszpański, uważający się dotąd za pierwszego wśród monarchów katolickich, zażądałby tegoż przywileju. A za nim zapewne i inni. Papież, rewizytujący jednego z przedstawicieli państw, nie znajdzie tak łatwo podstawy dla odmawiania tego przywileju innym. Precedens byłby uczyniony, a wiadomo, że dla dyplomatów precedens oznacza — wyłom. Podobnych precedensów - wyłomów Watykan specjalnie się obawia; stąd płyną trudności, namysły i pertraktacje dni ostatnich. Zapewne i ten szkopuł da się rozwiązać, dziś jednak łamie sobie nad nim głowę dyplomacja watykańska, pragnąca, jak dotąd, aby rewizytę watykańską składał nie Papież lecz kardynał Gaspari.

CENTRUM RYWALIZACJI ŚWIATOWEJ

Prezydent Hoover jest wybitnym inżynierem. Jest człowiekiem czynu.

Widzieliśmy i my tę jego zdolność czynu w czasie wojny. Ostatnio zarząd najwyższej organizacji inżynierskiej w Ameryce wręczył mu medal „Fritza" na 1929 r. Medal taki otrzymali poprzednio: Marconi, Westinghause, Edison, Wright. Same te nazwiska świadczą najlepiej, jaki walor przedstawia uzyskanie podobnego medalu, ofiarowanego obecnie autorowi dzieła „De re metallica". To wydarzenie w rodzinie uczonych amerykańskich podkreśla jeszcze lepiej zdolność czynu, jaki posiada nowy lokator Białego Domu. Ta cecha daje asumpt do przypuszczania, iż polityka ekonomiczna Stanów pod nowemi rządami nabierze specjalnej aktywności i znaczenia. A ta polityka ekonomiczna po wojnie nabrała cech transoceanicznych, jakich nie posiadała przed wojną. Staje się ona również podstawą polityki Stanów, a więc obchodzi nas podwójnie. Ameryka inwestująca Europę musiała siłą rzeczy silniej wejść w zagadnienia europejskie. Pomimo głoszenia haseł obojętnej neutralności i wysunięcia tak liberalnego hasła „swobody mórz", znalazła się w konflikcie z innem hasłem „supremacji morskiej", wyznawanej z takim zapałem przez Anglję. Ta sytuacja dziś wytwarza rywalizację dwuch państw, z których jedno zupełnie wystarcza sobie ekonomicznie, nie szukając kolonji, a drugie niemal może sobie wystarczać właśnie dzięki posiadaniu tych kolonji. Dziś rywalizacja — jutro może konflikt, jakby pragnęły Niemcy. Odpędźmy pesymizm i ufajmy, iż energja Hoovera i impet ekonomji amerykańskiej do konfliktu tego nie dopuszczą, znajdując ujście na rynku wewnętrznym. Mimo to musimy mieć w swej świadomości, iż rywalizacja dwuch potęg istnieje i że rozdmuchiwać ją, paczyć nie raz, nie sto, zapragnie nasz sąsiad zachodni.

GENEWSKI MADRYT

Z naszym sąsiadem zachodnim spotkamy się na terenie madryckim wkrótce i znów sprawy mniejszości znajdą się przed forum Rady Ligi Narodów.

Tym razem musimy przyznać, iż w wyjątkowo niewygodnej sytuacji znajdzie się „urodzony" obrońca mniejszości, p. Gustaw Streseman. Narodziny tego obrońcy miały miejsce w Lugano. Wówczas to święte oburzenie na „bezpodstawność" skarg polskich zacisnęły dłoń jego w kułak potężny, który bębnił po stole obrad. W praworządność tego kułaka uwierzyła tylko... większość opolska, młócąca kijami polskie artystki, okrwawiająca mężczyzn, łamiąca instrumenty muzyczne.

Ten specyficzny sposób obrony kulturalnych praw mniejszości znajdzie zapewne w Madrycie dostateczne oświetlenie, zostanie również niewątpliwie w skardze ludności Opola dostatecznie uwypuklony. Nie mamy potrzeby przejaskrawiać.

Krew polskich artystek i artystów jest dostatecznie jaskrawa. Woła ona o sprawiedliwość i nie wątpimy, że ją znajdzie przy stole genewsko-madryckim.

Jeśli skarga ta w kraju „corridy" może popsuć nerwy, spokój i panowanie nad sobą p. Stresemana, to trudno, niech ma o to żal do swoich „baranków" opolskich.

Wieści ostatnie [a raczej przedostatnie] donoszą, iż Streseman do Madrytu wogóle nie pojedzie. Mówimy przedostatnie, gdyż zapewne „ostatnie" zmienią tę pogłoskę, będziemy zapewne świadkami jeszcze jednej, tak częstej pogróżki niemieckiej — tak bliskiej usiłowaniom politycznych szantaży.

POLEMIKA KOLONJALNA

Poseł włoski Fera podniósł tuniskie rekryminacje Włoch w wygłoszonej mowie podczas debaty nad włoską polityką zagraniczną. Znowu więc mamy na widowni przekomarzania się włosko-francuskie, tak szkodliwe dla stosunków europejskich i pokoju powszechnego. Fera zarzuca Francji, iż pragnie narzucać urzędowo i administracyjnie „nacjonalizację" francuską dzieciom emigrantów włoskich. „Francja, zaznacza on, nie może być legislatorem" w Tunisie, gdyż kraj ten nie należy do niej, a jest tylko pod jej protektoratem.

— Ta teza — odpowiada Temps — nie da się obronić ani prawnie, ani praktycznie. Niema państwa, któreby obecnie zgadzało się, aby cudzoziemcy poprzez generacje cale zachowywali swą narodowość i uchylali się od uznania suwerenności państwa, w którem mieszkają. A zresztą, dodaje Temps, stosowanie tezy Fery w całej logicznej rozciągłości doprowadzać by musiało włochów do stawania się tunizyjczykami, coby ich upośledzało wobec innych cudzoziemców".

Podjęcie tej dyskusji publicznie przypomina tylko, iż to drażniące obie strony zagadnienie nie zostało jeszcze załatwione. Mimo to można się domyślać, iż w Rzymie i w Paryżu rozmowy na ten temat trwają. Atak frontowy publiczny posła faszystowskiego każe raczej przypuszczać, że mógł on być potrzebny dla przyspieszenia pertraktacji, dla powiedzenia paru prawd w języku parlamentarnym dopuszczalnych, a w toku obrad dyplomatycznych mniej na miejscu. Załatwienie tej kwestji pozornie od nas odległej jest niesłychanie pożądane i wskazane dla dobrych stosunków obu narodów.

A te dobre stosunki to „cheville ouvrière" równowagi pokojowej w Europie.

ROZCZAROWANIE RUMUNJI

Właściwie możnaby powiedzieć, że jest to rozczarowanie dalej sięgające, ale opierając się na pismach tak miarodajnych, jak „Adverul" i „Universul", możemy powiedzieć, iż w Rumunji przedewszystkiem panuje rozczarowanie z powodu ostatniego zjazdu Małej Ententy. Plan ekonomicznego porozumienia zawiódł.

Gospodarcze zbliżenie nie zostało osiągnięte. Ale nietylko to, „Universul" podaje w wątpliwość istnienie zupełnego porozumienia i w innych sprawach. A choć czyni przytem wysiłki, aby motywować konieczność tego porozumienia, to jednak nuta rozczarowania brzmi w jego rozumowaniach. „Adverul" zaś zarzuca brak przygotowania ostatniemu zjazdowi w Belgradzie i dowodzi, że kancelarje małej Ententy niedość intensywnie działały na drodze usunięcia trudności.

Ta krytyka oraz, jak się zdaje, brak istotnych rezultatów stwierdzają, że na razie poza akcją defensywną, Mała Ententa nie może wytworzyć większej spójni pomiędzy swymi członkami. Polska, posiadająca jeknajlepsze stosunki z każdym z członków Małej Ententy poszczególnie, może sobie życzyć, aby ta pewna decepcja wewnętrzna trwała jaknajkrócej i aby nie była objawem osłabiania się tej spójni trzech naszych bliskich geograficznie i uczuciowo sąsiadów.

Aeg.

Z RUMUNJI, SZWECJI I ANGLJI



X-ta rocznica wielkiej Rumunji: rodzina królewska podczas defilady wojsk w Bukareszcie. Królowa - wdowa Marja, królowa-matka Helena, młodociany król Michał i jego kuzyn książę Aleksander-jugosłowiański



Księżniczka Ingrid, córka następcy tronu szwedzkiego, ur. w 1910 r. Wychowana w szkole angielskiej, z matki angielki, księżniczki of Connaught, domniemana narzeczona księcia Walji, bawi obecnie w Londynie. Do wizyty tej przywiązują wielkie nadzieje sfery dworskie w Szwecji i Anglji

EPOPEJA WYZWOLENIA

Za rok święcić będziemy setną rocznicę powstania listopadowego. Przed oczami stanie korowód bohaterów, śmiałków, kunktatorów, dyplomatów, tchórzów, zdrajców; rozwinie się kalejdoskop wydarzeń tragicznych, brzemiennych w następstwa polityczne straszne, zlikwidowane dopiero klęską moskali i niemców za naszej pamięci podczas europejskiej wojny.

Nieraz wracaliśmy rozwagą i pamięcią do tych przełomowych listopadowych dni. Nieraz ważyliśmy ich czyny na szali naszego losu. Nieraz staraliśmy się odgadnąć mechanikę tych wydarzeń, chcąc zrozumieć wagę psychiki, przyczynę niepowodzeń.

Powstanie listopadowe będzie zawsze źródłem wielu pouczeń, zbiornikiem wzruszeń patrjotycznych, kopalnią tematów dla poetów, beletrystów, dramaturgów. Nie mogło ono nie poruszyć wyobraźni Stanisława Szpotańskiego, jak wiadomo, historyka z wykształcenia. Gdy więc spróbował sił swoich literackich w beletrystyce, dając powieści „Skradziony rękopis", „Przysięga", nie wyzbył się przecież magji faktów, które wydostał na jaw pracą archiwalną. Szpotański epokę powstaniową poznał dokładnie i krytycznie z licznych studjów w bibliotekach, z żywej też nieraz tradycji, promieniującej i skupiającej się dookoła osoby śp. Władysława Mickiewicza.

Zdobył się więc na cykl powieści, odtwarzających w wizji beletrystycznej dramat nasz od powstania listopadowego po rok 1848. Powstanie poznaliśmy z czterotomowej narracji pt. „Bez słońca". Emigrację i jej nadzieje, swary odmalował „W synach klęski". Pierwsza próba wzniecenia nowego ruchu wyzwoleńczego po powstaniu znalazła wyraz w powieści pt. „Odloty". Są to dzieje wyprawy Zaliwskiego i tragicznej śmierci śp. Artura Zawiszy - Czarnego. Renesans nadziei i niemilknącej energji wyzwoleńczej przejawia się w legjonie włoskim, sformowanym w r. 1848 przez Adama Mickiewicza. Ten moment odtwarza Szpotański w powieści pt. „Prometeusze".

Przyznać należy, iż autor wziął na siebie zadanie olbrzymie. Te cztery powieści, to cztery ważne etapy rozwoju myśli wyzwoleńczej, nie składającej broni nawet w obliczu jawnej przemocy. Wiara narodowa, podsycana przez romantyzm i genjusz Mickiewicza, płonęła wtedy ofiarnym ogniem i nie dawała społeczeństwu zgnuśnieć wśród domniemanych łask carskich, szafowanych dla „lojalnych" obywateli.

St. Szpotański nie cofnął się przed pokazaniem Warszawy z tych czasów, roztańczonej, ogłupianej zabawami, zaczadzonej dziegciem kozackim. Niektóre warstwy społeczne polskie prędko przystosowały się do moskiewskiego a właściwie Paskiewiczowskiego reżymu. Jako obserwator, pokazał jednak i Warszawę inną: klęczała ona u karmelickiego muru na Lesznie, tratowana przez żołdactwo a nieprzejednana i pamiętająca. W powieści pt. „Odloty" ta chwila jest szczytowym punktem narracji pokrzepiającej, choć obdartej z wszelkich złudzeń. Przemoc rosyjska nie zostawiła najdrobniejszej nadziei, a jednak znalazł się człowiek, który u stóp szafotu zamanifestował, iż detronizacja Mikołaja mimo przegranej wojny nie przestała być aktem prawowitego sejmu rzeczypospolitej.



Stanisław Szpotański

W powieści tej Szpotański dał kilka scen porywających: odpręża się nasza psychika, gdy Zawiszyna - matka rzuca przekleństwo na Paskiewicza. Napawa nas zadowoleniem ekspiacja Anny, córki Paskiewicza, na mogile straconego Artura. Na wyżyny wzruszeniowe wchodzi Szpotański i w powieści „Prometeusze", gdy maluje sceny rewolucji paryskiej. Szczególnie moment śmierci arcybiskupa Djonizego Affre przemawia cudem odwagi chrześcijańskiej. Ten to sługa boży wszedł między wrogie barykady i wołał:

— „Żołnierze! Francuzi! W imię Chrystusa wzywam was, abyście zaprzestali przelewać krew francuską..."

Nic nie wskórał. Powaśnione szeregi nie zaprzestały walki.

On „szedł wśród wichury kul, pękających granatów, z krzyżem wzniesionym, ku tamtym, gdy nagle rozkrzyżował ręce i padł bez jęku w ramiona wikarego Jaquemet. Trafiła go zbłąkana kula".

„Prometeusze" Szpotańskiego opowiadają dzieje dwustu pięćdziesięciu śmiałków, którzy zgrupowali się koło Mickiewicza, by w r. 1848 zadokumentować wobec Europy naszą wolę do niepodległości. Jako przednia straż, iść mieli wraz z włoskiemi, wyzwoleńczemi sztandarami przeciw Austrji. Finał tego przedsięwzięcia był smutny. Żołnierze wolności w Grecji poszli do robót przy szosach. Przeżyli jednak sen na jawie: witały ich miasta włoskie z rozwiniętemi sztandarami.

Powieść ta jest ciekawa i przez miłość Czerlińskiej i Krzesławskiego, Mickiewicz nie może też nie podsycić uwagi. Widzimy go tu, jako działacza politycznego. Szpotański pokazuje go kilkakrotnie wśród różnych okoliczności. Zawsze jest...

„w płaszczu na ramionach, skurzonym jeszcze z drogi, z włosami srebrnemi; był, jak natchniony pielgrzym, co z Bogiem długo obcował".

Budzi entuzjazm, zapala żagwie miłości. Podbija Florentczyków prostem wezwaniem.

„Florentczycy, spełniliście dzisiaj akt chrześcijańskiego braterstwa. Witając nas — obcych pielgrzymów, co bez broni jeszcze idą przeciw mocarzom ziemi, uczciliście to, co jest w nas nieśmiertelnego: naszą wiarę i patrjotyzm. Chodźmy podziękować Bogu!"

Rozsądkiem tego pojąć nie podobna: „wśród kwiatów i sztandarów wszedł do kościoła, w mgnieniu oka wypełnionego po brzegi. Padł krzyżem, pochylono nad nim sztandary!"

W obrazie tym jest rzecz niepojęta, nieodważona na szali zwykłego rozsądku. Piękno jej i teraz czaruje nas i podnosi.

Powieści St. Szpotańskiego w dorobku naszym beletrystycznym zajmują ważną pozycję: zbliżają nas i uczą kochać wysiłek wyzwoleńczy straceńców. Im to zawdzięczamy, iż nie wygasł w nas ani przez chwilę ogień sprawy.

Eustachy Czekalski



Procesja Bożego Ciała w Gnieźnie, w której wziął udział p. Prezydent Mościcki, prowadząc ks. biskupa Laubitza



Po odsłonięciu pomnika Chrobrego p. Prezydent udaje się do pałacu arcybiskupiego

ŻYWOT PANI...

„Kaleka bez żółci, biedny rybałt, szaraczek i biedaczyna", „prawnie przypisany do zwarjowanej gminy miasta Lwowa", a od lat radujący „całą Polskę swemi wesołemi konceptami", autor „bezgrzesznych lat", wydał znów książkę pod wieloznacznym tytułem „Żywot Pani". Jest to szaleństwo godne Kornela Makuszyńskiego. Któżby się odważył w tych czasach zaglądać niedyskretnie do tajemnic życia kobiety? Wprawdzie autor zastrzega się, iż chodzi mu tylko o ...Panią, czego znów nie należy brać serjo, bo jest to pułapka! Makuszyński takich pułapek narozstawiał bez liku na 300 zgórą stronicach zabawnych swoich dygresji na tematy wszelkie. Czytelnicy nasi mogli się nieraz o tem przekonać! Makuszyński może napisać wesoły, interesujący feljeton na każdy temat. Na morzu, lądzie, w powietrzu, czuje się on doskonale. Pięknie zastawiony stół, nie mówiąc o szlachetnej butelce, budzą w nim refleksje zastanawiające. Czytelnicy nasi pamiętają przecież jego feljeton w numerze „spożywczym" Świata!

Humor Makuszyńskiego pogodny, równy, bez żółci, nawet gdy daje receptę na komedję lub cieszy się z wychodzenia za mąż aktorek, musuje, pieni się, igra, swawoli. Swawola ta dochodzi do zawadjactwa przy rozważaniach tak zasadniczych i poważnych, jak: „Koszula pani szczęśliwej", „Pani Sfinks", „Pani wyjeżdża", „Pani gra w karty", „Pani pokutująca", „Pani pisząca".



KORNEL MAKUSZYŃSKI

Czyż dziwić się, że Makuszyński otrzymuje setki listów dziękczynnych, sławiących go za radość, pogodę, uśmiech? Każda jego książka, choćby nawet była zszyta z dwóch starych, jest nowością pożądaną i przez czytelników witaną z wielką przyjemnością. Makuszyńskiego czytać bowiem można i należy zawsze i wszędzie. Ma on w słowie swojem czar przenoszenia na „Wyspę szczęśliwości..."

Gdzie znajduje się ta wyspa? Dokładny, precyzyjny, niezawodny adres podaje K. Makuszyński w nowej swojej książce pt. „Żywot pani".

F.



MADRYT

TYDZIEŃ W MADRYCIE

IV Kongres Międzynarodowy Związków Autorów Dramatycznych

Po Paryżu, Rzymie i Berlinie, przyszła kolej na stolicę Hiszpanji. Dla Polaka — podróż daleka. Trzeba przejechać całą niemal Europę. Ale pociągająca. Madryt ma dla nas, w pewnej mierze, powab egzotyki.

Ktoby sądził jednak, że w tem wielkiem mieście na każdym kroku spotykać będzie czarno - białe piękności w mantylach, i ponurych Almawiwów w ciemnych płaszczach z gitarami w rękach, ten dozna zawodu. Madryt skosmopolityzował się. Na Plaza Mayor już nie odbywają się interesujące auto da fe. Wieczorem nie słyszy się serenad, nawet w cichych uliczkach. Don Żuan i Don Kiszot ubrali się w angielskie garnitury i każą sobie czyścić żółte buty po parę razy dziennie. Wysokie fasady grzebieni, na których upinała się mantyla, zastąpiły — na obciętych *à la garçonne* włosach — te same kapelusiki, które widzimy w Paryżu i Warszawie. Madryt poszedł nawet dalej. Amerykanizuje się. Do skomplikowanej architektury dawnej przybyły drapacze nieba, brzydkie, ciężkie i potężne, jak kasy pancerne banków Gould'a lub Morgan'a.

Skarżył się na tę inwazję stary hidalgo hiszpański. Odpowiedziałem mu:

— To wasza wina. Nie trzeba było odkrywać Ameryki. Zachciało wam się amerykańskiego złota, macie teraz na Calle de Alcola kilkunastopiętrowe potwory!

Nie uległ zmianie charakter hiszpana, skomplikowany i odrębny, — ani uroda kobiet. W Klubie Sztuk Pięknych, — powiedzmy: we wspaniałym pałacu tego Klubu, urządzono dla członków kongresu przyjęcie, połączone ze specjalnem przedstawieniem w uroczej sali teatralnej. Takiej dekoracji jeszcze nie widziałem. Scena została wysłana różami. Ile kwiatów padło ofiarą tego szalonego kaprysu? Dziesięć tysięcy? Sto tysięcy? Nie wiem. Wśród róż śpiewały i tańczyły artystki hiszpańskie, dzwoniąc kastanietami. A widownia? Widownia była nie mniej barwna, niż scena. Ponurość czarnych smokingów rozświetliły różnokolorowe, haftowane szale setki pań i panien madryckich, które raczyły wziąć udział w przyjęciu. Wszystkie były w szalach, widownia mieniła się od barw, a tyle było postaci istotnie pięknych, czarujących, — wdzięcznych w każdym ruchu, w każdym geście! Potem tańczono. Zaiste, nadobniejszego zebrania nie widziałem! Przeważnie były to panie młode, nawet bardzo młode. Hiszpanka przekwita dość szybko. Klimat sprzyja lenistwu. Zaś lenistwo sprzyja tuszy. Starsze panie nabierają jej tutaj często nadmiernie.

Była to jedyna w swoim rodzaju sposobność podziwiania piękności pań hiszpańskich. Cudzoziemiec rzadko spotyka je w mieście. Eusebio Blasco, znany autor hiszpański, pisze: — „Wszystko w Madrycie odbywa się w towarzystwie mężkiem. Mężczyźni wypełniają kawiarnie, restauracje. Mężczyźni sprzedają w sklepach, tylko mężczyzn spotyka się w urzędach"... Wpływy arabskie pozostały na dnie duszy hiszpańskiej. Nietylko w stosunku do kobiet.

. . . .

Lecz zajmijmy się kongresem. Będziemy mieli jeszcze czas na przechadzki po Madrycie.

Kongres tegoroczny zawiódł oczekiwania. Obawy, które wyraziłem przed dwoma laty na kongresie w Rzymie, okazały się słuszne. Łączność Federacji Związków Autorów Dramatycznych z Federacją Związków, które reprezentują t. zw. „małe prawa" (utwory kabaretowe, sceniczne i muzyczne, piosenki, muzyka taneczna etc.) nie może wydać dobrych owoców. Dwie te Federacje tworzą jedną Konfederację, mimo interesów i zainteresowań zgoła odmiennych.

Związki Autorów Dramatycznych i Kompozytorów Operowych mają na celu obronę interesów moralnych i materjalnych swoich członków. Związki t. zw. „małych praw", lubo w zasadzie służą tym samym zadaniom, mają na razie w znacznej mierze charakter przedsiębiorstw handlowych, w których — jak w naszych polskich towarzystwach akcyjnych — zarząd i dyrekcja główne ciągną korzyści. Zresztą, trzeba przyznać, łatwiej jest zainkasować w jakiemś miasteczku portugalskiem albo holenderskiem honorarjum za wykonanie w miejscowym dancing'u piosenki p. Golda lub Petersburskiego z Warszawy, niż odnaleźć tych autorów i owo honorarjum im doręczyć... Zręczni ludzie chwycili w swe ręce te przedsiębiorstwa. Dokonują oni na Zachodzie Europy ogromnych obrotów. W jakim stopniu bronią autorów owych mniejszych utworów, t. j. jakie im wypłacają tantjemy? Mniemam, że są to rzeczy jeszcze niezupełnie określone. Owi autorzy i kompozytorzy nawykli byli, że ich okradano i cieszą się z najmniejszego dochodu, jaki im spada do kieszeni. Wszyscy są więc zadowoleni, — i przedsiębiorcy, którzy owe wielkie agencje prowadzą, i ich mocodawcy. Tylko te agencje nic wspólnego nie mają z literaturą i sztuką, i małżeństwo dwóch Federacji, które doszło do skutku dzięki słabości niebosz-

czyka de Flers'a, nie może być szczęśliwem. Wybitniejsi pisarze dramatyczni zaczynają stronić od tych zjazdów międzynarodowych. Związki autorskie reprezentowane są przez adwokatów i dyrektorów handlowych. Obrady kongresowe stają się raczej targowiskiem sprzecznych interesów, niż upragnionym terenem wzajemnego zbliżenia twórców wszystkich kulturalnych narodów. Mimo trudności technicznych, jakie nastręcza organizacja pewnych towarzystw (zwłaszcza Societa degli Autori Italiani) rozwód wydaje się nieuniknionym.

Jednym z głównych przedmiotów obrad kongresu stał się „film mówiony" i „film dźwiękowy". Pisarze zachodnio - europejscy przykładają ogromne znaczenie do tych nowych wynalazków, widzą w nich olbrzymią przyszłość. Czy to zaniepokojenie jest słusznem? „Film mówiony" jest jeszcze zagadką. Podstawą znaczenia filmu wogóle jest jego międzynarodowość, kosmopolityzm. Film dotychczasowy, wyprodukowany w Los Angelos, jest równie dobrze rozumiany w Patagonji, jak nad jeziorem Czad lub w Tobolsku. Ale niema języka, który byłby rozumiany po za pewnemi granicami przez szersze warstwy publiczności. Trzebaby wprowadzić esperanto, a na to się nie zanosi. Jak z tego zasadniczego szkopułu wybrnie twórca „filmu mówionego", niepodobna dzisiaj przewidzieć.

Inaczej ma się rzecz z „filmem dźwiękowym". Ten niewątpliwie w najbliższej przyszłości już pobije film cichy, milczący, wnosi bowiem nowe czynniki, nowe wartości, budzi nowe wrażenia, nowe wzruszenia, zaś w tego rodzaju widowiskach zawsze zwycięża nowość. Nasz obecny poseł w Waszyngtonie, p. Filipowicz, mówił mi, że w Ameryce film dźwiękowy już odniósł na całej linji zwycięstwo.

. . . .

Widziałem w Paryżu pierwszy wielki „film dźwiękowy", który zdobył olbrzymi sukces i obecnie odbywa tryumfalną wędrówkę po wszystkich znaczniejszych teatrach świetlnych całego świata. To „Śpiewak Jazz'a", z Jolsonem w roli tytułowej.

Treść zaczerpnięta jest z życia żydów nowojorskich. Stary Rabinowicz jest śpiewakiem w synagodze. Młody Jackie Rabinowicz jest także śpiewakiem, ale w jednym z kabaretów na Brodway'u. Ojciec uważa, że Jackie sprzeniewierzył się tradycji obyczajów i religji przodków i odtrąca go.

Lecz oto nadchodzi uroczyste święto Jomkipur, stary Rabinowicz zachorował śmiertelnie. Umiera. Jedna troska go trawi. Kto zaśpiewa dziś—Jehowie na chwałę, wiernym żydom na pokrzepienie serc? Kandydatów jest wielu, — godnym zastępcą sędziwego kantora mógłby być przecież tylko Jackie. Lecz on właśnie tego wieczora kreuje na Broadway'u nowy program, niecierpliwa publiczność już wypełnia rozległą salę.

Przyjaciel ojca wpadł za kulisy. Wyciąga jazzowego śpiewaka (który charakteryzuje się dla sceny na murzyna, niczem mój Sołowiejczyk w „Panience z Dancing'u"). Jackie jest wzruszony. Przemówiła w nim dusza żydowska. Zerwie przedstawienie, pojedzie do synagogi, i w śmiertelnej koszuli zaśpiewa świętą pieśń. Otwarto szeroko drzwi pokoju, w którym umiera stary Rabinowicz. Uśmiech okrasił jego usta. Poznał głos syna. Radość zaświeciła w zamykających się oczach. Przejdzie na łono Abrahama pogodny i szczęśliwy. A Jackie wróci na Broadway do swego music-hallu i do swej ukochanej dziewczynki.

Trudno o naiwniejszą treść. Jednak ten prosty sentyment bierze i wzrusza widza. Muzyka przyczynia się do tego w bardzo znacznym stopniu. Jackie Rabinowicz śpiewa swe piosenki jazzowe, stary Rabinowicz — pieśni religijne. Jest parę scen tylko, w których słychać — bardzo wyraźnie — rozmowę, prowadzoną w języku angielskim. I zaraz napięcie uwagi u publiczności gasło, choć to była publiczność bulwarowa, w większej swej części rozumiejąca mowę angielską. Natomiast śpiew Jolsona, który gra rolę młodego Rabinowicza, wywołuje naprawdę bardzo silne wrażenie. Widzieć na ekranie człowieka i słyszeć go, — to dreszcz całkiem nowy. Wyznaję, że dawno już nie doznałem tak silnego wzruszenia.

Czy to nie szczególny traf? Pierwszy „film dźwiękowy" jest filmem patrjotycznym żydowskim...

Ten „film dźwiękowy" jest przedewszystkiem filmem śpiewanym. Dla artystów wokalnych otwiera się nowe pole działania. Sądzę, że nasz znakomity śpiewak, p. Gruszczyński, który równocześnie jest doskonałym artystą filmowym, będzie mógł w pierwszym rzędzie skorzystać z tych nowych perspektyw.

. . . .

Jajkiem Kolumba, które zniosła, z powodu filmów „dźwiękowego" i „mówionego" Konfederacja autorska, była deklaracja, że w obu tych produkcjach prawa autorów winny być strzeżone, jak we wszystkich innych widowniach, przez odnośne dotychczasowe organizacje.

(D. C. N.) *Stefan Krzywoszewski*

POWITANIE W AERODROMIE W RZYMIE



KARDYNAŁ-PRYMAS KS. HLOND ODBYŁ PODRÓŻ Z POZNANIA DO RZYMU W AEROPLANIE

TEATR LETNI: „W CZEPKU URODZONY", KOMEDJA W 3-ch AKTACH, WINCENTEGO RAPACKIEGO



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: PP. RAPACKI (AUTOR), KURNAKOWICZ (TENOR), ORWID (IMPRESARIO) I LENCZÓWNA (ZOFJA) Fot. J. Malarski

Urodzony w czepku

Aktor, autor, kompozytor. Feljetonista, beletrysta, śpiewak. Sam pisze, sam komponuje, sam gra. Człowiek urodzony w czepku. Wincenty Rapacki, syn.

Od trzech lat co sezon wystawia w teatrze Letnim krotochwilę swego niefrasobliwego pióra i niezmiennie osiąga wielkie powodzenie. Publiczność się śmieje. Więcej! Śmieją się nawet recenzenci i nie mają mu tego za złe. Człowiek urodzony w czepku! Jemu jednemu wolno pisać utwory bezpretensjonalne. Coprawda, robi to wyśmienicie. Nawet p. Łopalewski, srogi recenzent wileński, od czci i wiary odsądza de Flersa, ale zachwyca się Rapackim synem. Z tego wynika, że ten w czepku urodzony człowiek umie zadowolić wymagania najnieubłagańsze.

Gdyby mi wolno było porównać komedje Rapackiego syna do napoju, tobym powiedział, że wszystkie jego utwory sceniczne (i niesceniczne) przypominają mi luby jabłecznik: nie kręci się od nich w głowie, jak po koniaku, czy po szampanie. Autor ostatniego sukcesu w Teatrze Letnim *(Urodzony w czepku)* tak mi kiedyś powiedział po przeczytaniu komedji, która będzie jego nowym sukcesem teatralnym w następnym sezonie (chyba, żeby wcześniej niecierpliwy dyr. Szyfman ubiegł Teatry Miejskie...).

— Ja wiem, że w moich utworach niema tego literackiego drań每stwa...

Parsknął śmiechem.

Miało to zapewne znaczyć: „Nie maczam pióra w alkoholu".

Jego rzecz. Ale trzeba stwierdzić, że ten wegetarjanin rodzimej komedji posiada autentyczne poczucie sceny, poczucie komizmu i daje dobre role swoim kapryśnym kolegom. Scena nie ma powodu adoptować krotochwil autora *Urodzonego w czepku:* są to bowiem prawe dzieci teatru. Od komedji wielu utalentowanych naszych pisarzów komedje Wincentego Rapackiego syna tem się różnią przedewszystkiem, że śmiało mogą na nie chodzić nawet małoletni bohaterowie pewnej uroczej humoreski, nagrodzonej przed laty, o ile się nie mylę, na konkursie *Tygodnika Ilustrowanego*, a noszącej efektowny tytuł *Tygrys bengalski.* Autorem tej ślicznej nowelki jest Wincenty Rapacki syn. W tym samym konkursie był nagrodzony Gustaw Daniłowski.

Mimo, że urodzony w czepku, Wincenty Rapacki syn należy do ludzi niezmiernie skromnych, nie umiejących się narzucać, do ludzi cichych, nie umiejących dbać o reklamę. Przed dwudziestu pięciu laty na obydwóch półkulach rozsławiła go piosenka, skomponowana przez niego całkowicie, bo i w słowach i w muzyce: nazywała się „Andzia". Wiktorja Kawecka rozdzwoniła tę piosenkę w bezgranicznej Rosji, w New-Jorku zrobił majątek na tej piosence, pozbawionej *copyright'u,* jakiś zamorski wydawca. Zastanawia, że o kompozycje Rapackiego nie zabiega *Qui pro Quo* z Ordonką, *Morskie Oko* z Pogorzelską. A przecież Wincenty Rapacki syn, autor trzyaktowej operetki pt. *Chwila szczęścia* (granej w Warszawie, za dyrekcji Ludwika Śliwińskiego), włada rzadkim talentem szczepienia naszym „bulwarom" (powiedzmy z paryska) nowych porzekadeł! On to wprowadził do gwary stołecznej tak popularne dziś powiedzenie: „Bujać to my, a nie nas" *(Papcio się żeni).* Jego łatwy dowcip — niektórzy powiedzą zanadto łatwy — posiada nieocenioną zaletę sceniczności. Jego krotochwila, daleka od zakusów „poprawiania obyczajów", składa się z najrzetelniej scenicznych sytuacji, dlatego zniewala publiczność. Jego bohaterowie są dobremi rolami, w które utalentowani aktorzy wchodzą, jak w wygodne ubranie. Panowie Kurnakowicz i Orwid z wyraźną satysfakcją demonstrują w *Urodzonym w czepku,* jak pysznie się czują jeden w roli tenora, drugi w roli impresarja, a publiczność bije im oklaski, bo również czuje się wybornie.

Autora wywoływano już po pierwszym akcie, ale nie mógł za to podziękować ukłonem, ponieważ się charakteryzował. Gra we własnej sztuce. Z roli jest niezadowolony. Chciał ją oddać. Ale uprosił go Rapacki, żeby przy roli został, bo się obrazi autor.

— Lepiej się autorom nie narażać — szepnął. — Nowakowski stracił przez nich stanowisko dyrektora teatru w Krakowie. Rola wprawdzie nietęga, ale niech mi pan wierzy, niema dobrych ról, są tylko dobrzy aktorzy. Sztuki Moliera tylko dlatego uchodzą za znakomite, że grał je znakomity aktor Molier.

W. Gr.



Ładna historja pani Czaplińskiej

Odbyło się wszystko ładnie, składnie i wesoło. Pani Czaplińska dowiodła *urbi et orbi* ze sceny szyfmanowskiej, że pięćdziesiąt lat pracy scenicznej jest to „ładna historja", nie szkodząca zdrowiu, ani wdziękowi, oczywiście pod tym tylko warunkiem, że się posiada prawdziwy talent. Bo bez talentu najpiękniejsza kobieta wygląda na scenie brzydko i najmłodsza wydaje się paralitykiem.

W *Ładnej historji* de Flersa pani Czaplińska była rzetelnie ładną historją, którą wenerować owacyjnie przyszli do Teatru Polskiego w zeszły piątek nietylko ci, co bywają na widzowni, ale i ci, co częściej chodzą po tamtej stronie rampy.

Akt drugi stał się punktem kulminacyjnym uroczystości, napozór tylko oficjalnej, a w istocie serdecznej. Otoczona półkolem fraków i dekoltów, wieńcami i bukietami, pani Czaplińska musiała wysłuchać, czem jest dla sztuki dramatycznej (bo sama o tem nie wiedziała), i jak dobrze wszyscy jej życzą. Pierwszy zabrał głos w świetnem przemówieniu pan hrabia Edward Krasiński, imieniem zarządu akcyjnego towarzystwa budowy (jeszcze za caratu!) Teatru Polskiego. Mimo że Teatr Polski jest pierwszym w Polsce teatrem o scenie rotacyjnej i o lampie Schwabego, p. Krasiński z naciskiem podkreślił, że nie scena obrotowa i nie reflektory stanowią istotę teatru, ale że teatr to aktor, interpretujący dzieło autora, utalentowany aktor (dodajmy nawiasem, prześladowany przez wyrodne typy twórczych reżyserów), aktor i tylko aktor. Następnie w słowach prostych i zwięzłych i po męsku serdecznych złożył jubilatce powinszowania i dar stołecznego miasta Warszawy pan prezydent Słomiński, który kocha literaturę i sztukę i miłości tej daje przy każdej sposobności nieplatoniczny wyraz. Imieniem dramaturgów przemawiał autor *Księcia Józefa Poniatowskiego*, p. Jan Adolf Hertz, oświadczając kategorycznie, że tytułu „czcigodna pani" doczeka się pani Czaplińska najwcześniej za dwadzieścia pięć lat, gdy się zacznie może trochę starzeć. Dyr. Szyfman mówił z taką tremą, jakiejby nie zniósł na swoich obydwóch scenach u najmłodszej kandydatki na adeptkę. Ale bo też przyznawał się publicznie do nieludzkiego wyzysku sił człowieczych: szanowna jubilatka od ośmiu miesięcy gra co wieczór! Tylko zakamieniały kapitalista może tak potwornie eksploatować bezbronną proletarjuszkę. Ale niechby spróbował nie obsadzić pani Czaplińskiej w następnej sztuce! Szanowna jubilatka wpadłaby do dyrektorskiego gabinetu z takiemi pretensjami, że pan Szyfman wolał odrazu zapewnić ją publicznie przy podniesionej kurtynie: „Będzie pani codziennie grała jeszcze dwa miesiące".

Trudno wyliczać wszystkie mowy i wszystkie grzmiące oklaski: było tego dużo, a bez pedanterji i wszystko przekonywało, że pięćdziesiąt lat pracy to furda!

A potem odbył się rozkoszny bankiet w salonach Bristolu. Młoda jubilatka siedziała między ministrem Twardowskim i prezydentem Słomińskim w najbliższem sąsiedztwie pułkownika Wieniawy-Długoszowskiego, Marji Przybyłko-Potockiej, delegatki Krakowa, pani Bednarzewskiej, i wypowiedziała toast, wielokrotnie przerywany najweselszemi brawami.

A potem tańczono.

Z sali malinowej przeszliśmy do sali jazz-bandowej. Melancholijne saksofony śmiały się głosami rozdokazywanych kaczek przed zarżnięciem, skrzypce łkały ekstatycznie, jak roznamiętniony wyżeł, który wystawił porywające się z furkotem obfite stadko kuropatw, pani Modzelewska wymówiła się komuś od tańca, redaktor Ehrenberg i pan Stanisławski jednocześnie założyli monokle...

Jasny dzień stał na niebie, gdy pani Mila Kamińska szepnęła pani Malickiej:

— Już widno.

— A to *Ładna historja!* — zawołała pani Malicka.

Pan Fritsche mówił do pana Sobieniowskiego:

— W *Wielkim kramie* Shaw'a zrobię się na Chamberlena.

Pan Hemar siadł do fortepianu, pan Maszyński zaczął wirować z panią Romanówną, jubilatka zniknęła niewiadomo kiedy...

Wacław Grubiński

Zofja Wojnarowska

Znana i ceniona poetka nasza, Zofja Wojnarowska, zdobywa obecnie zasłużone laury we Francji, jako malarka, której francuska prasa, skąpa zwykle w pochwały dla cudzoziemców, przyznaje niepospolity talent.

Poważne fachowe pismo paryskie „Les Artistes d'Aujourd'hui" w numerze z 15 stycznia r. b. pisze o naszej rodaczce, co następuje:

„Dwa pastele Zofji Wojnarowskiej, portret Michała oraz portret Pani S. trzeba zaliczyć do dzieł, których sukces był najrzetelniejszy".



Z. Wojnarowska — *Autoportret*

Dodać należy, iż Z. Wojnarowska ma za sobą bogaty dorobek na polu literatury. Wydała ona dotychczas: „Słowa o miłości i wojnie" (1917), „Księga Miłości" (1920), Rapt i Pacta poetica (1921), „Słowa o skarbach ziemi" (1922), „Proletarjat" (1921) oraz wystawiała: we Lwowie (Teatr Miejski) „Sekretarzyk czy panna", komedję w 5 aktach wierszem, w Łodzi (Teatr Miejski) „Noc", dramat w 3 aktach i „Kościuszko", sztuka w 5 aktach wierszem. W najbliższym czasie ukaże się tom jej nowel.

Naczelny redaktor „Świata" Stefan Krzywoszewski po czterotygodniowym pobycie za granicą wrócił do Warszawy.

„Twój uśmiech"... Pp. Birabeau i Dolley w Teatrze Athenee

Pani Colette prowadzi z sukcesem wielkie przedsiębiorstwo artystyczno-dekoracyjne. Przy całej swej energji ma czułe serce i nie lubi nikomu wyrządzać przykrości odmową. Angażuje tedy na rolę surowego administratora zrujnowanego miłego próżniaka p. Martin'a. W głębi duszy żywi dlań szczery sentyment, może z powodu jego niezmiennej pogody i czarującej beztroski. Poczciwy p. Martin popełnia oczywiście masę głupstw, aż zrozpaczona Colette wyznaje mu — z oburzeniem — swe uczucia. Powstaje stąd



Madelaine Soria

Fot. H. Manuel

sytuacja „tragiczna". Jakoż nie sposób przecie szanującej się niewieście zostać żoną lub kochanką swego płatnego urzędnika.

Od czegóż wszakże macchiawelizm kobiety zakochanej? Podsunie p. Martin'owi świetne stanowisko wspólnika u swego poprzedniego męża Michela, zmamiwszy tegoż podstępnie „rewelacją" o kapitałach, które mógłby wnieść do interesu. Będzie czuwała nad nim, posyłając mu w tajemnicy klijentów i poprawiając dziwolągi w jego handlowej korespondencji.. Bo z chwilą, gdy dorobi się majątku!... Tymczasem naiwny p. Martin wpadał w zarozumiałość i uwierzył w swój genjusz handlowy. Ale p. Michel, domagając się od swego wspólnika wpłaty kapitału, którego ów nigdy nie posiadał, odsłania mu mimowoli oczy.

Straciwszy swe złudzenia biznesmana, p. Martin odzyskuje urok swej wesołej beztroski. Zagadają się z p. Colette w jej standzie, w Grand Palais aż do zamknięcia bram przez służbę... Ta nowa odmiana force majeure zmusi ich do spędzenia tam wspólnie nocy, która bodaj czy nie stanie się pierwszą przedślubną... Żegnamy miłą parę dyskretnie życzliwym uśmiechem.

Zbyt może szumnie nazwana „komedją" nowa sztuczka autorów „Kwiatu pomarańczowego" — zakrawa raczej na sympatyczną sielankę o wodewilowem zacięciu. Koncertowo zagrali ją urocza Madeleine Soria, L. Rozenberg i Arnandy.

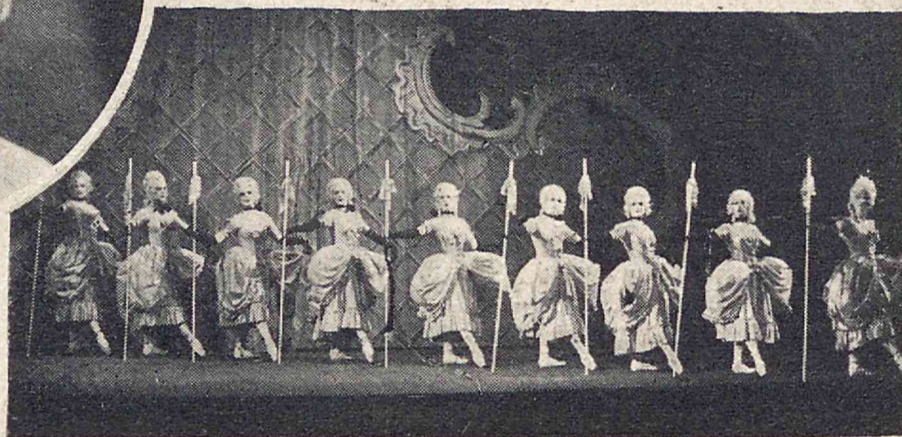
E. W.

Baletmistrz Polski odnosi sukcesy w Sztockholmie



JAN CIEPLIŃSKI

OBRAZ I Z BALETU „PIOTR PASTUCH"



Baletmistrz Opery Królewskiej w Stockholmie, p. Jan Ciepliński, wystawił ostatnio niezwykle oryginalny balet p. t. „Piotr Pastuch", osnuty na tle bajki Andersena, który przyjęty został entuzjastycznie. Muzykę skomponował kompozytor szwedzki. Kurt Atterberg; w roku ubiegłym otrzymał on w Ameryce pierwszą nagrodę za symfonję Schubertowską

Z MUZYKI

RECITAL TURCZYŃSKIEGO I SPRAWA WARSZAWSKICH PIANISTÓW

Profesor Józef Turczyński jest niezaprzeczenie jednym z najlepszych pianistów naszych tego właśnie pokolenia, które po świetnej epoce Śliwińskiego, Michałowskiego, Domaniewskiego i Melcera [Paderewskiego stawiamy osobno] dochodzi teraz do swej dojrzałości.

Gra Józefa Turczyńskiego pokazuje dowodnie, jak daleko zaprowadzić może artystę szlachetna ambicja, jak ambicja ta potrafi przezwyciężyć wszystkie trudności techniczne, podporządkowując trudności te celowemu i świadomemu siebie artyzmowi. Talent p. Turczyńskiego jest bardzo rozległy, mieści na swym warsztacie równie pięknie traktowaną romantyczną szopenowską tradycję, jak wszystkie odcienie najnowszych mód i poważnych kierunków współczesnego pianizmu.

Turczyński grał przez ciąg całego prawie bieżącego sezonu zagranicą, zdobywając tam wielkie entuzjastyczne powodzenie wśród obcej publiczności. W Warszawie koncert-recital tego pianisty cieszył się dużem powodzeniem i bardzo liczną frekwencją. Zachodzi więc pytanie, dlaczego w sezonie bieżącym nie słyszeliśmy Turczyńskiego w Filharmonji, dlaczego też nie słyszeliśmy tu rówieśnych Turczyńskiemu doskonałych pianistów naszych, jak Drzewiecki, Smidowicz i Żurawlew?

Każdy z nich posiada swe wielkie plusy: Drzewiecki jest doskonałym modernistą, Smidowicz osiąga bardzo szlachetne wyżyny w Beethovenie, Żurawlew w Liszcie i w specjalnym gatunku etiud, toccatów i tańców mało ma równych sobie w Europie. Pianistów tych nie widzieliśmy w tym sezonie na estradzie piątkowych koncertów Filharmonji, którą to lukę sezon przyszły stanowczo powinien wypełnić.

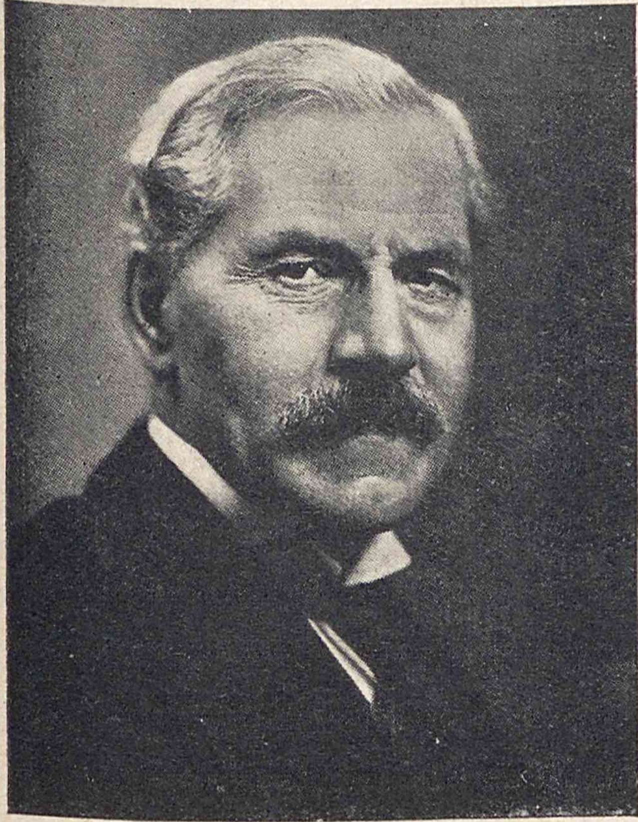
jkb.

NOWY ZIELONY FRAK



LUDWIK MADELIN, NOWOOBRANY CZŁONEK AKADEMJI FRANCUSKIEJ, ZNANY HISTORYK, AUTOR LICZNYCH KSIĄŻEK O REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

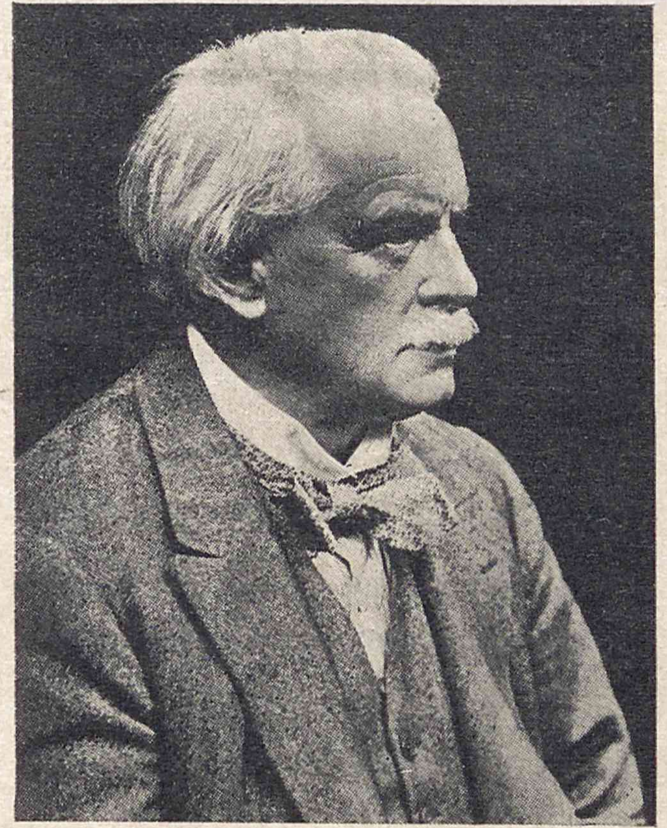
TRZEJ WODZOWIE POLITYCZNI ANGIELSCY:



Ramsay Macdonald, były prezes ministrów, leader „Labour-Party", nauczyciel i publicysta



Baldwin, prezes ministrów, wódz konserwatystów, wielki przemysłowiec



Lloyd George, wielokrotny minister, wódz liberałów, z zawodu polityk

WYBORY W ANGLJI: PORAŻKA KONSERWATYSTÓW...

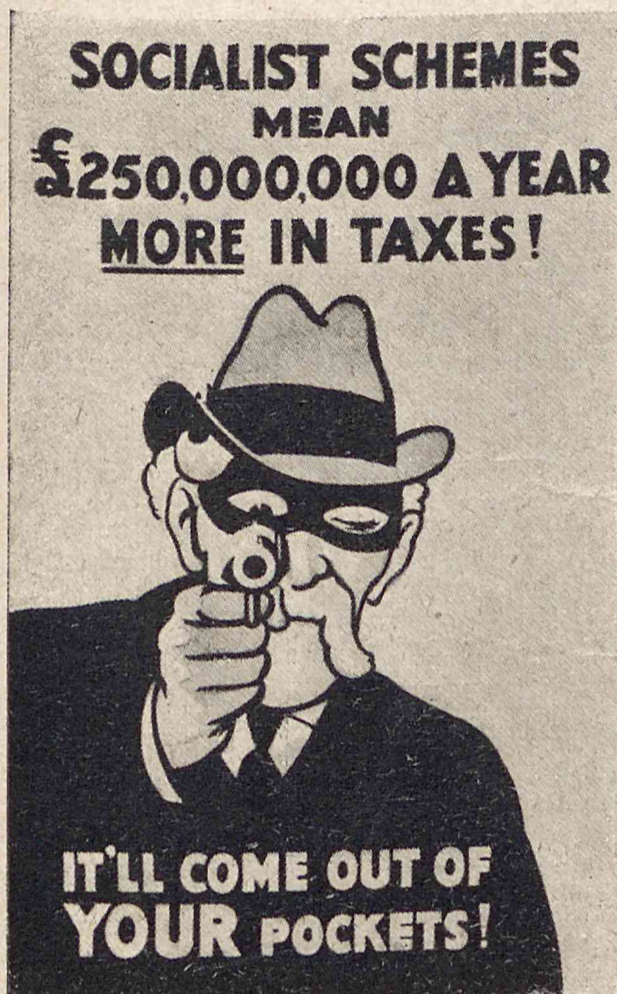
Rząd Baldwina poniósł porażkę w wyborach, które odbyły się w Anglji w dn. 30 bm. W wyborach tych stronnictwo robotnicze „Labour Party" otrzymało 297 mandatów. Liberałowie 59. Konserwatyści zatrzymali tylko 251 miejsc w parlamencie. Wynik wyborów jest rezultatem głosowania kobiet angielskich. Ramsay Macdonald, wódz partji pracy, oświadczył: „Zwycięstwo nasze przypisujemy wyborczyniom, które głosowały, jak się tego spodziewaliśmy, na korzyść polityki przebudowy społecznej i pokoju w stosunkach z zagranicą".

Rząd Baldwina wobec porażki będzie musiał ustąpić. Na miejsce jego przyjdzie zapewne do władzy Macdonald, który już był premjerem. Liberałowie z Lloyd Georgem na czele stanowić będą języczek u wagi: prawdopodobnie otrzymają w gabinecie kilka tek. Nie jest wykluczone, że porozumieją się z konserwatystami. Lloyd George skłonny jest bowiem do wszelkich politycznych kompromisów.

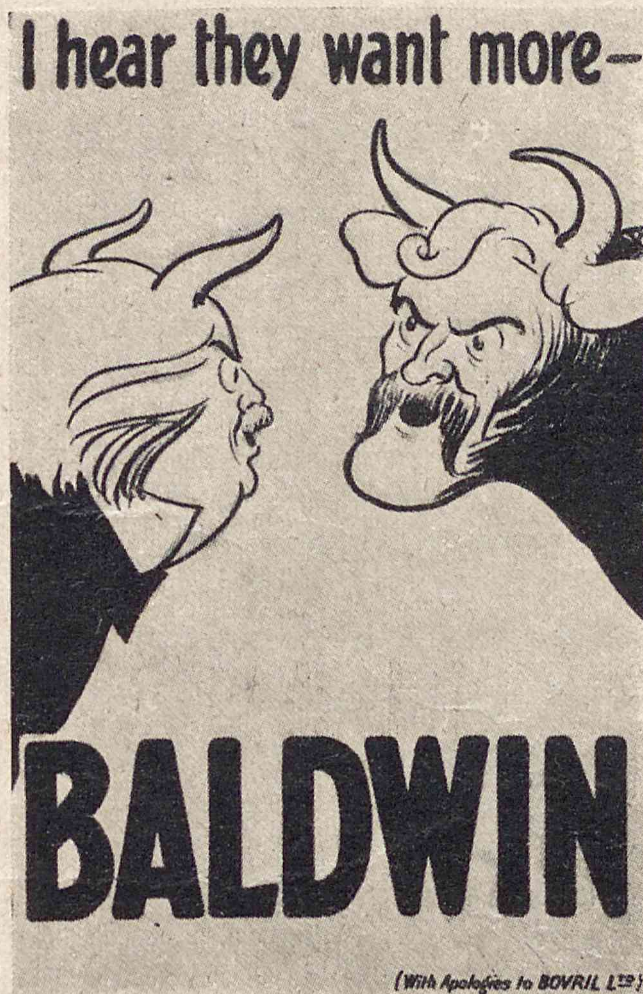
Jest charakterystyczne, iż w wyborach tych przepadł komunista Saklatvala, hindus, reprezentant robotników portowych londyńskich. „Labour" w głosowaniu otrzymała z górą 8 miljonów głosów!

Kobiety angielskie rozwinęły bardzo intensywną agitację: przeprowadziły też kilka wybitnych działaczek. Sądząc z tradycjonalizmu polityki angielskiej, nie należy się spodziewać jaskrawych zmian w kursie rządzenia. I to tembardziej, że „Labour - Party", mimo sukcesów niewątpliwych, większości w parlamencie nie posiada.

AFISZE WYBORCZE STRONNICTWA KONSERWATYWNEGO ANGIELSKIEGO



Socjalistyczny projekt żąda rocznie o 250 miljonów funtów więcej podatków: to uderzy mocno wasze kieszenie... zapewniał afisz konserwatystów



Słyszę, że oni (t. j. Lloyd George i Macdonald) żądają więcej, niż Baldwin. Satyryczny ten afisz miał jeszcze u dołu napis: już chodzi tylko o nasze pieniądze



Weseli chłopcy kradnący narodową marmoladę: Lloyd George podsadza na swych plecach Macdonalda, którego hasłami są: nacjonalizacja i konfiskata

Migawki Warszawskie

SALON SZTUKI

Duży salon. Perskie dywany oddane do wyświechtania, aby się stały droższe. Mnóstwo drobiazgów, z któremi nie wiadomo, co było zrobić w domu, więc przywędrowały tutaj, jako cenne antyki.

Budząca się Wenus starowłoskiej szkoły, która znalazła tu schronienie, ponieważ Feluś się żeni i już mu Wenus na obrazie nie potrzebna. Talerz prawdziwy sewrski z portretem Ludwika czternastego, trochę nadtłuczony. Kielich kryształowy Karola piątego, trochę wyszczerbiony Miniatura pani Pompadour trochę starta. Wszystko trochę nadwyrężone, ale autentyczne. Wszystko sprawdzone, podpisane, zarejestrowane.

Stare makaty, stare szafy, stare bronzy — wszystko stare.

Jedyny przybytek, gdzie młodość jest przyjmowana pogardliwie. Za to kupujący powinien być bardzo młody, mieć serce niezepsute i zielono w głowie. To jest bardzo potrzebne dla ułatwienia tranzakcji.

Niema tu szczerbca Chrobrego, który się znajdował równocześnie w Ermitażu petersburskim i muzeum wiedeńskiem, ale za to są tabakierki, o których marzył Napoleon. Są pasy słuckie, o jakich się nie śniło Radziwiłłom. Są kandelabry szczerozłote z prawdziwego bronzu i wielka galerja obrazów, reprezentowana przez wszystkie szkoły: włoskie, holenderskie, francuskie, angielskie, a nawet i polskie.

— Czy szanowny pan co wybrał?

— Proszę pana, ja właśnie wynająłem mieszkanie i urządzam się.

— Doskonale, że pan przyszedł do nas. My wszystkich urządzamy nadzwyczajnie. Zaczniemy naturalnie od gabinetu skórzanego.

— Nie, nie! Ja meble już mam. Tylko chciałbym kupić jaki obraz. Niech kosztuje, co chce, aby było na co patrzeć.

— Rozumiem Czy panu konwenjuje starowłoska szkoła?

— Nie .. nie, wolałbym któregoś z naszych.

— Bardzo słusznie. Może Fałacik?

— Dobrze, a jaka cena?

— Pięć tysięcy.

— O, to nie na moją kieszeń. Ale ja tu, proszę pana, widziałem kiedyś Fałata i kosztował o wiele mniej.

— Tak jest, prawda! Tak. Szanowny pan się nie myli. Pamiętam doskonale, ale to był Fałacik *letni*, a to gruba różnica. A to jest Fałat *zimowy*.

— Aha, to jest zimowy?...

— A może Kossak? Jest droższy i tańszy. Ten kosztuje sześć tysięcy, a ten tylko trzy.

— A dlaczego, proszę pana? Przecież obydwa są letnie.

— Tak, szanowny pan ma słuszność. Ale widzi pan, na tym są tylko sami ludzie, a tu są i ludzie i konie. Rozumie pan? Kossak bez koni, to tak, jak Ejsmond bez kwiatów. Otóż *ludzki* Kossak jest tańszy, a koński droższy. To proste.

— Aha, ludzki... jest tańszy... to ciekawe... Proszę pana, a ten kościół, to czyjego pendzla? Bardzo mi się podobał.

— A naturalnie, piękna rzecz. To jest Cieślewski, architektura... trzy tysiące.

— Trzy tysiące? Drogo.

— Mam Cieślewskiego pejzażowego, będzie o wiele tańszy.

— A czy te pejzaże są nieładne?

— Przeciwnie, bardzo piękne, ale widzi pan, Cieślewski *architektoniczny* jest droższy, a *pejzażowy* tańszy, to trudno.

— To może ja się zdecyduję na pejzażowego?

— Proszę pana bardzo. Wszystko zależy od pańskiego gustu.

— A te kwiaty?

— To Lindeman.

— Wspaniałe, jak żywe.

— A ten pejzaż?

— Także Lindeman.

— Tak? To który tańszy?

— Widzi pan dobrodziej, wyjątkowo wszystko jedno. Lindeman kwiatowy i pejzażowy w jednej cenie.

— Jak to wszystko trzeba wiedzieć.

— A naturalnie. To są tajemnice prawdziwej sztuki.

— O panie, to jest bardzo ładne, to mi się podoba, czyje to?

— To pejzaż naszego Lasockiego, jubilata.

— A czy bardzo drogi?

— Zgodzimy się. Ale zwracam panu uwagę, jako uczciwy sprzedający, że pejzaż jest bez krowy.

— A na cóż mi krowa. Jest niebo... jest woda .. jest łąka...

— Ja tylko dla porządku, bo prawdziwy Lasocki powinien być z krową.

— To nadzwyczajne.

— Więc jak szanowny pan decyduje?

— O właśnie, moja żona przyszła, ona zadecyduje. Chodź Zosiu, bo widzisz, jest taka historja. Fałata letniego niema, a zimowy za drogi. Cieślewski tylko pejzażowy, Kossak za bardzo ludzki, a na końskiego mnie nie stać. Lindeman, taki czy owaki, to wszystko jedno, więc wziąłem Lasockiego bez krowy. Przecież o głupią krowę nikt nie będzie miał do nas pretensji.

— Ale nic z tego, mój drogi, bo ja się już rozmyśliłam i dałam zadatek na dywan.

Wincenty Rapacki

Juljan Ejsmond

DROZD

(Bajka Ezopa z komentarzem)

W czasie wolnym od pieśni
[i ptaszęcych flirtów
żywił się pewien śpiewak - drozd
[w gaiku mirtów...
Schwytał go ptasznik w sidła. Drozd
[jęknął żałośnie:
„Dla rozkoszy jedzenia — ginę
[w życia wiośnie!"

*

„Bajka to — mówi Ezop — o tym,
[co się zgubił
dla rozkoszy..."

*

A Ezop? czy jadać nie lubił?
Czy wówczas kiedy bajek nam nie
[opowiadał,
staruszek Ezop pościł? i nigdy nie
[jadał?

NOWY WŁADCA AFGANISTANU



HABIBULLAH, NOWY WŁADCA AFGANISTANU PO ROZGROMIENIU WOJSK AMANULLAHA ZAJĄŁ KABUL

SYTUACJA POLSKI W ETERZE

WYWIAD Z DYR. POLSKIEGO RADJA, P. CHAMCEM

Wchodzę do gabinetu dyrektora Chamca „nastawiony" na najciekawsze tematy w radjofonji, t. zw. sytuację Polski w eterze, nie kosmicznym naturalnie, lecz naszym ludzkim, globalnym, który zaprzęgliśmy do praktycznej pracy radjowej.

Wita mnie wysoki, poważny gentleman. Miły uśmiech i spokojne spojrzenie z poza szkieł.

Siadamy za olbrzymim stołem. Dyrektor skupia się na chwilę, aby przebiec w myśli ciekawą „sytuację w eterze".

— Przedewszystkiem muszę pana uprzedzić, że w jednej rozmowie nie wyczerpiemy tego tematu. Zaczniemy więc od ogólnego naszkicowania zagadnienia fal radjowych.

— Stacje radjowe, zaczyna dyr. Chamiec, muszą znajdować się w pewnem oddaleniu pod względem długości fal, gdyż inaczej powstają interferencje. Wynika z tego, że ilość fal będących do rozporządzenia jest ograniczona.

Nie zapominajmy, że na falach eteru pracuje również radjotelegrafja.

Konferencja Waszyngtońska w r. 1927 podzieliła wszystkie fale w eterze na odcinki, z których każdy został przeznaczony do pewnych zadań radjokomunikacyjnych.

— A dlaczego Waszyngton rządzi się falami? Czyżby i w eterze prześladowała nas hegemonja Ameryki?

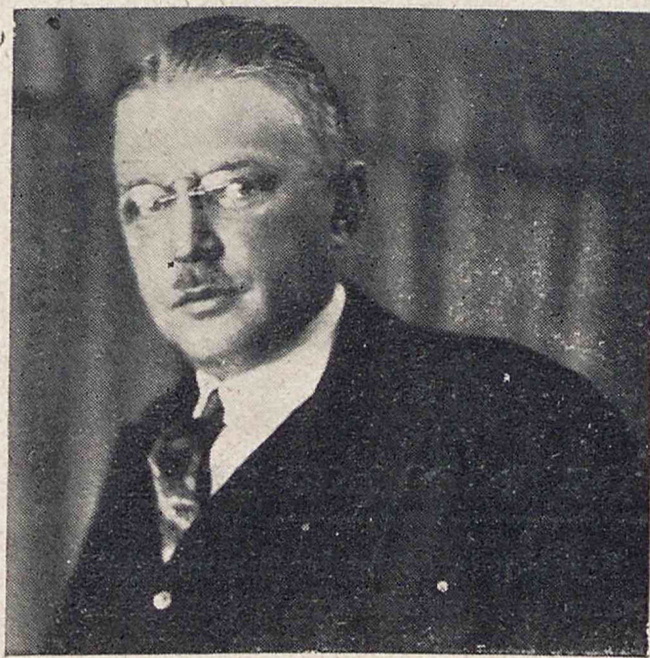
— Tak źle nie jest. Co roku odbywają się konferencje międzynarodowej unji radjofonicznej, „rządzącej" majątkiem fal. Kwestja miejsca jest zupełnie obojętna. Otóż konferencja praska przydzieliła radjofonji pewne odcinki fal od 200 — 550 m. i od 1340 do 1850.

Zadaniem konferencji było podzielenie fal, znajdujących się na tych odcinkach, między poszczególne kraje europejskie. Na odcinku między 200 — 550 m. można było rozmieścić 106 fal, nie przeszkadzających sobie nawzajem, na odcinku 1300 — 1850 m. 7 fal.

— Siedem, to bardzo mało, jak na dużą rozpiętość tego odcinka!

— Na rozmieszczenie większej ilości fal nie pozwalałyby odległości. Doświadczenia techniczne wykazały, że przy ośmiu mielibyśmy już interferencje.

Przy podziale należało brać pod uwagę, niejednakową techniczną jakość fal. Dlatego też siedem fal powyżej tysiąca metrów, jako najlepsze, liczone są podwójnie. Powiedzieliśmy poprzednio, że mamy 106 fal „gorszych" od 200—550 m. Dziesięć z nich pozostawiono, jako fale wspólne, gdyż np. Hiszpanja i Rumunja, budujące małe stacyjki na falach o słabem promieniowaniu, przyziemnem, nie będą sobie nawzajem przeszkadzały. Każdy broadcasting chce otrzymać jaknajlepszą jakościowo falę, gdyż jak wiadomo „fala fali nierówna".



Zygmunt Chamiec, Naczelny Dyrektor Polskiego Radja

Każda antena wysyła dwa rodzaje fal: poziome, przyziemne, oraz fale wypromieniowane pod kątem ostrym, biegnące w przestrzeń, ponad naszą sferę globalną. Idą w górę, oddalają się od ziemi, napotykają zjonizowane części atmosfery, odbijają się w nich, jak w lustrze i wracają do ziemi często w bardzo wielkiej odległości od miejsca, z którego zostały wysłane.

Na tem polega ciekawe zjawisko „łapania" bardzo odległych i słabych stacji. Do celowej pracy fale takie nie nadają się jednak zupełnie. Im dłuższa fala, tem więcej wysyła fal poziomych, a mniej odbitych i dlatego zasięg stacji pracującej na fali długiej jest większy od zasięgu stacji takiej samej siły, lecz pracującej na fali krótszej.

Przy falach poniżej 300 m. fal poziomych jest bardzo mało, tak że nawet silna stacja ma ograniczony zasięg. Dlatego każdy broadcasting stara się, aby utrzymać jak największą ilość fal powyżej 300 m.

Zostały one na konferencji praskiej podzielone przy pomocy klucza, który polega na stosunku ilości ludności do powierzchni całej Europy. Klucz ten dla Polski wyraża się cyfrą 7,5. Wynika z niego, że mamy prawo do ośmiu jednostek falowych, co też na konferencji praskiej otrzymaliśmy: jedną długą falę 1411 metrów i 6 pomiędzy 200 — 550 m.

Dużym sukcesem naszym są cztery z tych sześciu fal powyżej 300 m., fale dobre, i dwie poniżej 300 m., gorsze, nie nadające się dla stacji o dużym zasięgu.

Otrzymaliśmy więcej, niż mogliśmy się spodziewać, gdyż dobrych fal jest wogóle wszystkiego 51, a gorszych 55.

Sprawiedliwie dzieląc, powinniśmy dostać po trzy fale, ze względu jednak na dużą powierzchnię naszego państwa, wymagającą większej ilości stacji o dużym zasięgu, uwzględniono nasze potrzeby.

— Czy były trudności przy „wywalczaniu" tych fal?

— Owszem, nie było to łatwe, lecz dzięki roli delegacji polskiej, pod przewodnictwem p. inż. Stalingera z Min. Poczt. i Telegrafów, która odegrała pewną rolę w przeprowadzeniu porozumienia między niektóremi państwami, otrzymaliśmy to, co się nam słusznie należało.

Na podstawie wyników, osiągniętych na konferencji praskiej, możemy myśleć dzisiaj o realnym i rzeczowym planie rozbudowy polskiej radjofonji.

W tej chwili opracowują się plany tej rozbudowy. Zadaniem nowej wielkiej stacji będzie również zużytkowanie fal, pozwalających na udostępnienie odbioru detektorowego jak największemu procentowi ludności.

Na tem zakończymy nasz wywiad, mówi dyr. Chamiec.

W następnych rozmowach pomówimy o samej rozbudowie, międzynarodowej wymianie programów, o roli, jako odegraliśmy na tem polu, pobliskich falach, ich jakości i znaczeniu i t. d.

Echa radjowe kosmosu

Badacze fal elektro - magnetycznych są zaskoczeni nowem, niemal że upiornem zjawiskiem. Norweski uczony, prof. uniwersytetu w Oslo Karol Störmer, dokonał prawdziwie sensacyjnego odkrycia, a mianowicie, stwierdził, że fale, które w postaci dźwięków, odebranych przez radjo, wpadają do ludzkiego ucha, mogą po upływie kilku, a nawet kilkunastu sekund być pochwycone na nowo, jak echo. Zjawisko to występuje bardzo nawet wyraźnie przy odbiorze fal krótkich, a zwłaszcza znaków Morsèa. „Echo" powtarza się po raz pierwszy po upływie siedmiu lub ośmiu sekund, i to powtarza się kilkakrotnie raz po raz. Fale radjowe odbywają zatem spacer tam i z powrotem.

Jak sobie wyjaśnić to tajemnicze zjawisko? Na to pytanie daje prof. Störmer taką odpowiedź:

Według doświadczeń, dotychczas poczynionych, można było rozróżnić trzy rodzaje takiego „echa". Jeden rodzaj stanowią znaki Morséa, które pojawiają się bardzo szybko po pierwszem ich odebraniu, co zapewne tem daje się wytłomaczyć, że część energji, wysłanej z radjostacji nadawczej, dociera aż do krańców atmosfery kuli ziemskiej i tam się kilkakrotnie odbija od elektrycznie „nieprzepuszczalnych" warstw i z pewnem opóźnieniem powraca do aparatu radjo - odbiorczego. Ponieważ wiemy, że fala elektryczna przebywa 300.000 kilometrów na sekundę, przeto z czasu tego opóźnienia można wyliczyć, jak daleką drogę odbyło to „echo", zanim dotarło do ucha człowieka.

Drugi rodzaj tworzą echa, które również pojawiają się dość rychło, ale za to w bardzo regularnych okresach. Prof. Störmer przypuszcza, że fale te nie odbijają się od jakiejś hipotetycznej warstwy atmosfery, t. zw. warstwy Heavside'a, ale od zupełnie pewnej „zapory", np. od strefy zorzy polarnej, lub załamują się w tem miejscu, gdzie ziemia nasza, jeszcze pogrążona w cieniu nocy, już przechodzić zaczyna do oświetlonej promieniami słońca, a tem samem najonizowanej atmosfery.

Trzecią grupę stanowią znaki, które wracają dopiero po upływie dziesięciu, dwunastu a nawet siedemnastu sekund, które zatem odbyły drogę wielu miljonów kilometrów długości, ale wracają z taką wyrazistością, że niema żadnej wątpliwości, iż się ma do czynienia z echami ze wszechświata.

Duński uczony, rektor politechniki w Kopenhadze, prof. P. O. Pedersen, na posiedzeniu Akademji Nauk, omawiając doświadczenia prof. Störmera, tak się wyraził:

„Znam Störmera od wielu lat. Jego i moją specjalnością jest radjofonja. Jego doświadczeń pod względem pewności nie można ani na chwilę stawiać w wątpliwość.

Twierdzenia jego są zupełnie naturalnym wynikiem rozwoju radjotechniki. Prof. Störmer dowiódł nam, że za pomocą sygnałów radjowych jesteśmy w możności przeniknąć wszechświat. I nie ulega żadnej wątpliwości, że do tego przyjdzie, iż będziemy się mogli porozumiewać z innemi planetami. Nic nie może stać temu na przeszkodzie, abyśmy mogli odbierać korespondencję stamtąd, naturalnie o ile tam mają aparaty odbiorczo-nadawcze, które na nasze zapytania będą mogły odpowiadać. Błędem jednak byłoby przypuszczać, że to stanie się możliwem przy pomocy fal długich, jak tego pragnęli ci, którzy niedawno wysyłali depesze na Marsa. Doświadczenia Störmera dowiodły, że możliwem jest to tylko na falach krótkich i te przenikają w przestrzenie międzyplanetarne. Przestrzenie te stoją teraz dla nas otworem. Krótkie fale mają nieskończony zasięg. Störmer swemi doświadczeniami osiągnął dystans 5 miljonów kilometrów. Można więc śmiało twierdzić, że dla zasięgu fal krótkich nie istnieją żadne granice i że niema przeszkód, przez któreby nie mogły one przenikać. Fale krótkie jeszcze niejedną kosmiczną zagadkę nam rozwiążą".

Dr. M. Stępowski

Powiedzonka bridżowe

Przysłowia są mądrością narodów. Nie można tego powiedzieć o powiedzonkach bridżowych, które są wręcz głupie. Oczywiście pewni ludzie mówią największe nawet głupstwa z wdziękiem, a wtedy wszystko się im wybacza i w bridżu. Ale znacznie gorzej, gdy z powiedzonek bridżowych partner nasz czerpie mądrość karcianą i każde swoje złe wyjście komentuje, a popiera utartą i wytartą mądrością preferansowo - wintowo - bridżową:

— Psuć, to jeden kolor.

Dlaczego psuć? jest inne „wyjście", daleko bardziej wskazane, które nie psuje gry, ani humoru partnera.

— Dzieci lordów nocują pod mostem Tamizy, bo ich ojcowie nie odciągali atutów.

Przypomina sobie i innym nasz partner, wtedy właśnie, gdy wskazana jest gra „na przebitkę", a odciąganie atutów powoduje tak zwaną leżankę.

— Wenn man weist nicht wie und wo, dann spielt man Caro.

— Po co? przecież twój partner licytował inny kolor!

— Figur na figur — mawiał święty Igur!

I gra „pobożnie" wtedy właśnie, kiedy powinien był puścić dziesiątkę i „wpuścić" partnera do lewy...

— Trefelki, kolorek niewielki

Jak niewielki, to pasuj!

— Kot w galarecie, nie karta!

Wiadomo, więc poco sam leciałeś do czterech, gdy twój partner milczał. Położysz się znowu bez czterech, z kontrą po dogranej.

— Jedenby tak, drugi inaczej.

I oczywiście zagra inaczej, niż powinien.

— Goła dama zawsze bierze!

Ale nie powinna; gdy masz dziesięć atutów, nie baw się w impasy.

— Impas jest duszą gry.

Oznajmia głośno, poczem zgrywa asa, króla i resztę oddaje.

— Impas dusi grę.

Przypomina sobie po chwili i impasuje do czwartej siódemki na stole, mając w ręku asa, damę, waleta i kilka blotek.

— Czemby tu zagrać, a czem straszyć...

I nie straszy przeciwników, ale wystrasza nawet „kibica".

Znajomość powiedzonek bridżowych nie ma nic wspólnego ze znajomością gry, i nawet nikt nie operuje tak umiejętnie cytatami i aforyzmami bridżowemi, jak słabi bridżiści. Niektórym działa to na nerwy. Ale, nie zapominajmy, że bridż jest też szkołą cierpliwości. A dla niecierpliwych i lepszych bridżistów istnieje również serja powiedzonek, które tych słabszych są w stanie wpędzić do grobu (ale nie odpędzić od stolika).

A więc:

— W Pińczowie dnieje.

— Rżnij Walenty, Bóg się rodzi.

— Na panią patrzy cała Europa.

Na zapytanie:

— Kto rozgrywa?

— Pytek.

— W co gramy?

— W bridża.

— Co to?

— Złoty zegarek.

Nie można twierdzić, że bridż jest szkołą uprzejmości.

H. Jel.

ŚWIAT SAMOCHODOWY

AUTOBUSY I WYSTAWA W POZNANIU

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu pobudziła niewątpliwie inicjatywę polską w rozmaitych kierunkach. Dzięki temu powstają przedsięwzięcia, na które może w innych warunkach musielibyśmy jeszcze długo czekać. Chociaż komunikacja autobusowa w ostatnich latach rozpowszechniła się w Polsce dość szeroko, to jednak zasięg jej był względnie dość niewielki, ograniczał się do miejscowości niezbyt odległych od stolicy lub większych miast czy ośrodków przemysłowych. Zagranicą od dawna już istnieją stałe połączenia samochodowe między wielkiemi miastami, podejmujące nieraz zwycięsko rywalizację z koleją żelazną, zapewniające podróżnym nietylko większą przyjemność podróży, ale również większe wygody, jak się to dzieje np. w wspaniałych samochodach - sleepingach, krążących coraz liczniej po Anglji czy Ameryce. U nas autobusy krążyły dotąd prawie wyłącznie po tych linjach, gdzie połączenia kolejowe narażały podróżnych wskutek przesiadania się i wyczekiwania na pociągi na znaczniejszą stratę czasu.

Obecnie dopiero w związku z wystawą powstało „Towarzystwo Komunikacji Autobusowej w Polsce", które przewozi podróżnych własnemi autobusami do Poznania. Towarzystwo utrzymuje narazie stałą komunikację na szlaku Warszawa — Poznań, w projekcie jednak są przewidziane dwie dalsze linje na szlaku Łódź — Poznań i Gdynia — Poznań. Na razie uruchomiono dwa autobusy z 31 wygodnemi siedzeniami, niebawem będzie ich 8, mianowicie 5 wielkich i 3 mniejsze. Jazda trwa około 8 godzn, w koszt biletu jazdy, bynajmniej nie wygórowany, wlicza się śniadanie i obiad, które podróżni spożywają po drodze. Szlak prowadzi z Warszawy przez Sochaczew, Łowicz, Koło, Krośniewice, Konin, Wrześnię do Poznania; postoje w Łowiczu i Krośniewicach. Podróż ma charakter turystyczny i dzięki temu dostarcza jadącemu nieporównanie więcej interesujących wrażeń, aniżeli podróż w wagonie kolejowym.

Zaznaczyć należy, że Towarzystwo powstało z 80 proc. kapitału polskiego i 20 proc. kapitału zagranicznego. Podwozia są oryginalne, angielskiej firmy Brockway, karoserje wykonuje się w fabryce w Kaliszu.

Drugą inicjatywą w dziedzinie automobilizmu, która zawdzięcza swą genezę wystawie w Poznaniu, jest zorganizowanie wycieczek turystyczno - krajoznawczych autobusami z Poznania. Inicjatywa wyszła od Wielkopolskiego Związku popierania turystyki w Poznaniu, który też udziela wszelkich w tej sprawie informacji (Poznań, ul. Bukowska 3). Rozumowano słusznie, że wielu ze zwiedzających wystawę bardzo chętnie zapozna się ze starą dzielnicą wielkopolską i z polskiem morzem, jeżeli tylko ułatwi się im tę podróż. Bo oczywiście nie każdy człowiek lubi odgadywać rebusy rozkładów kolejowych, wyszukiwać hoteli w nieznanych sobie miejscowościach itp. Na tem właśnie obliczeniu opierają się przecie podróże, organizowane przez Cooka czy inne wielkie biura podróżnicze.

Tą samą drogą poszedł obecnie Wielkopolski związek Turystyczny. Ustalono ośm szlaków bliższych lub dalszych, naznaczając cenę za podróż ryczałtową, a jednocześnie zwalniając podróżnika od mnóstwa kłopotów. Najkrótsza z tych wędrówek odbywa się do Kórnika, kosztem zaledwie 15 zł., najdłuższą jest czterodniowa wycieczka przez Kaszuby nad polskie morze, kosztem 270 zł. Przy projektowaniu szlaków podróżnych uwzględniono wszystkie miasta, mogące swemi zabytkami lub charakterem zainteresować turystę. Nie można wątpić, że pożyteczny pomysł przy sumiennem zrealizowaniu zdobędzie sobie duże powodzenie i że przedsięwzięcie nietylko w okresie trwania wystawy w Poznaniu ale i w latach następnych służyć będzie licznym polskim turystom.

Rom.

Wiadomości z życia automobilowego

GYMKHANA SAMOCHODOWA W KRAKOWIE

W dniu 20 maja na boisku K. S. Wisła odbył się konkurs elegancji, a następnie gymkhana samochodowa. Wyniki szczegółowe gymkhany przedstawiają się następująco: 1) M. Tarnowska (Fiat 509) 1 minuta 22 sek.; 2) Dygat (Tatra 2 cyl.) 1 min. 31.4 sek.; 3) Przygocki (Fiat) 1 min. 33.8 sek.; 4) Tarnowski (Fiat) 1 min. 36 sek.; 5) Ripper (Licorne) 1 min. 37 sek.; 6) Mars (Fiat) 1 min. 38 sek.; 7) Ripper (Tatra) 1 min. 39 sek.; 8) Majer (Fiat) 1 min. 41.6 sek.; 9) Kołaczkowski („Z") 1 min. 47.2 sek.; 10) Mars na Fiacie.

*

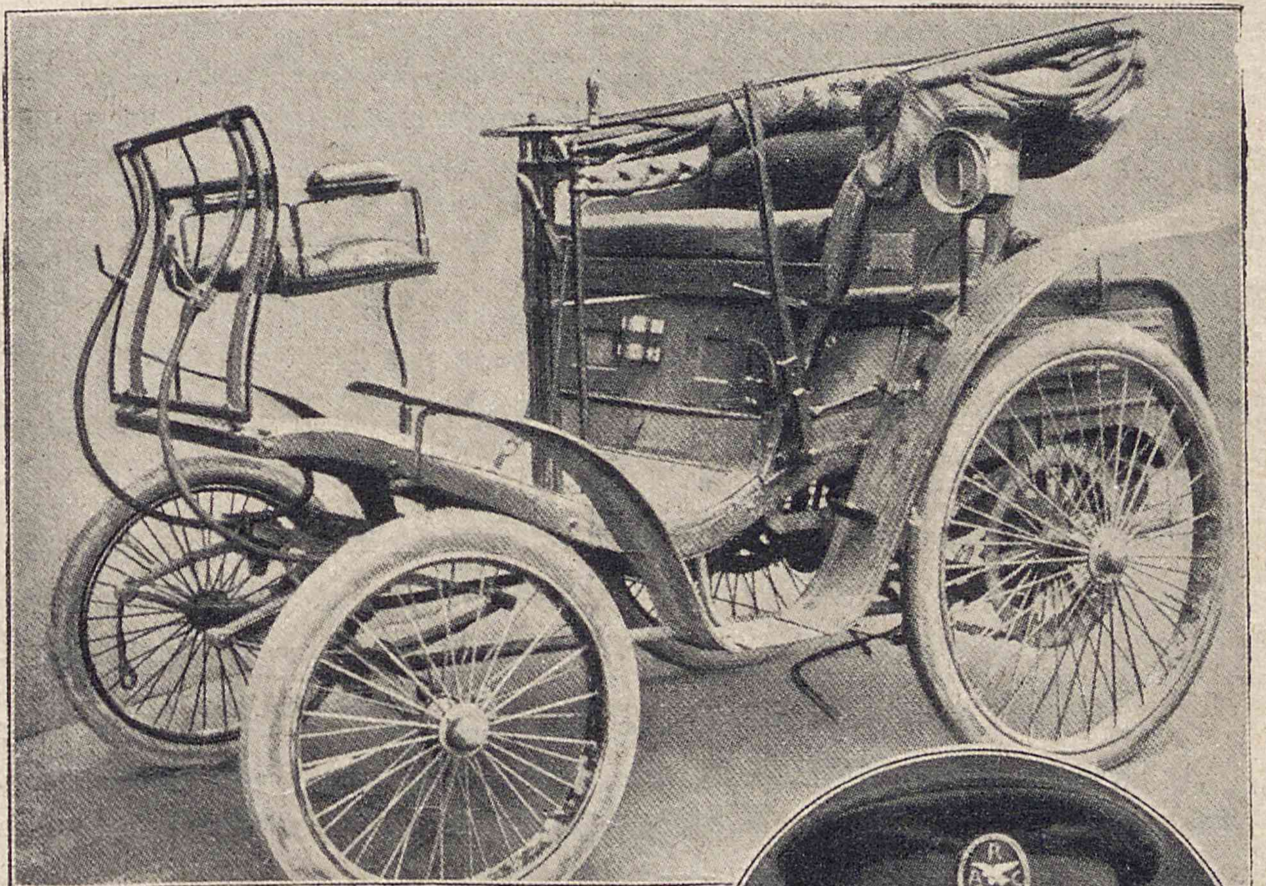
RAID PĘTLICOWY W KRAKOWIE

W dniu 19 maja odbył się w Krakowie wielki raid samochodowy, zwany pętlicowym, na przestrzeni 523.5 klm., podzielonych na 4 etapy. Startowało 12 wozów. Ukończyło raid 11, sklasyfikowanych 10. Wyniki raidu: 1) Fryling (Studebacker - Komandor) 497 pkt.; 2) Mojžísek na Tatrze 2 cyl. — 495 pkt,; 3) Vermyrowsky (Tatra 4 cyl.) — 493 pkt.; 4) Ripper (Licorno) — 492 p.; 5) Dygat (Tatra 2 cyl.) — 490 pkt.; 6) Lang (Studebaker - Erskine) — 489 pkt.; 7) M. hr. Tarnowska (Fiat 509) — 487 pkt.; 8) Kołaczkowski („Z") — 485 pkt.; 9) Przygocki (Fiat 509) — 484 pkt. i 10) Leder na Delage — 476 pkt. Trasa raidu bardzo ciężka z powodu deszczu.

Trzy wozy „Tatra" zdobyły 3 puhary za najlepszy wynki teamu, cz. zespołu.

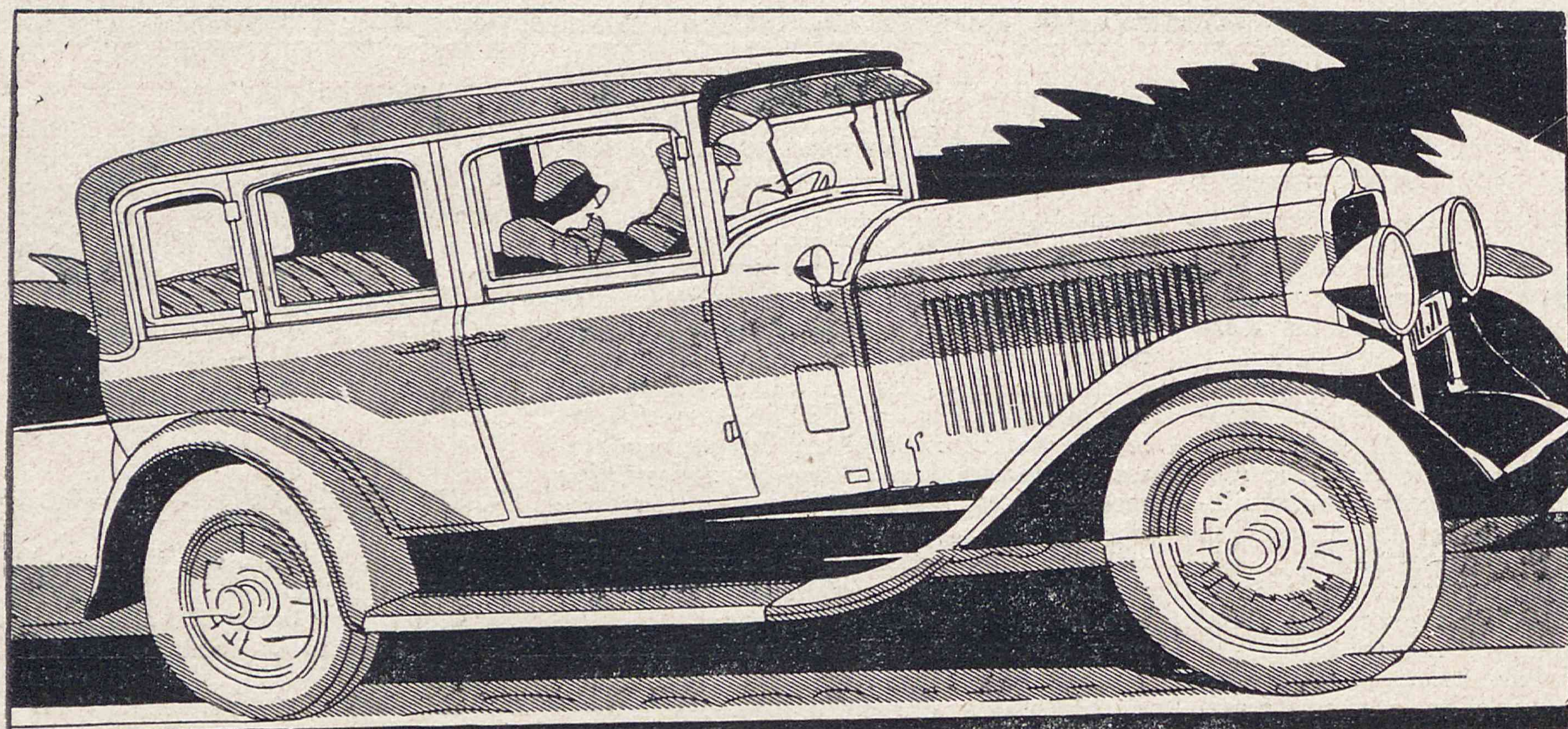
*

PIERWSZY NIEMIECKI AUTOMOBIL





DR. KAROL BENZ, KONSRUKTOR PIERWSZEGO NIEMIECKIEGO AUTOMOBILU. MODEL TEN POCHODZI Z R. 1895. WYSTARCZY WÓZ TEN PRZECIWSTAWIĆ SAMOCHODOM, KTÓRYCH UŻYWAMY, BY STWIERDZIĆ JAK POSUNĘLIŚMY SIĘ W TECHNICE TEGO POŻYTECZNEGO WYNALAZKU



Potężny silnik Buicka z największą łatwością przezwycięża wszelkie wyniosłości gruntowe

Model Buicka arcydzieło sztuki i konstrukcji

Buick stale cieszył się olbrzymią popularnością wśród najbardziej wybitnych osobistości

W ostatnim modelu Buicka na rok 1929 jego konstruktorzy, dzięki dwudziestopięcioletniemu dóswiadzeniu, potrafili osiągnąć idealne połączenie przepięknej stalowej karoserji z najbardziej współczesnemi ulepszeniami techniczemi.

Słynny silnik Buicka o zwiększonej średnicy i skoku cylindra zyskał 17% wydajności, co wobec ulepszenia wału rozrządczego i wprowadzenia pompki do benzyny poruszanej mechanicznie oraz specjalnego wzmocnienia podwozia, daje możność rozwinięcia szybkości 120 klm. na godzinę na otwartej szosie.

Tegoroczny Buick jest wyrazem nowego kierunku w budowie karoserji samochodowej. Pod względem harmonijności linji, przepięknych barw i zbytkownego urządzenia wewnętrznego, karoserje jego nie mają sobie równych. Przestronne siedzenia i przesuwalne siedzenie kierowcy zapewniają bezwzględną wygodę przy największych odległościach. Dzięki tym wszystkim zaletom tegoroczny Buick, zresztą jak i w ciągu 25-letniego istnienia tej marki, cieszy się olbrzymią popularnością wśród osobistości, ceniących swój czas i szukających w samochodzie przedewszystkiem pewnego, szybkiego i wygodnego środka lokomocji.

Tegoroczny Buick posiada wszystkie zalety samochodu reprezentacyjnego dla funkcji towarzyskich w mieście, a jednocześnie jest idealnym typem wozu, nadającego się do dalekich podróży w celach handlowych i zawodowych. Cieszy się olbrzymią popularnością wśród wybitnych osobistoći ze sfer urzędowych i zawodowych.

BUICK

Wyrób General Motors

General Motors w Polsce, Warszawa

DWA PRZEGLĄDY TWÓRCZOŚCI

W przemówieniu swojem podczas uroczystości otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej podkreślił prezydent Poznania p. Cyryl Ratajski ze szczególnym naciskiem, że „na przekór wątpiącym, na przekór wszystkim hamulcom życia narodowego, Powszechna wystawa ma wykazać bezcenne siły twórcze narodu, jego zdolności do największych wysiłków, jego zmysł organizacyjny, coraz doskonalszy i płodność ducha niezwykłą". — Dwiema drogami zdąża do tego celu organizacja tego pierwszego w odrodzonej Polsce walnego egzaminu naszych sił, zdolności i możliwości.

Zgromadzone na wystawie tak licznie, ugrupowane tak umiejętnie i interesująco eksponaty są przeglądem naocznie przekonywującym i niewątpliwie imponującym dzieł dokonanych. A na jego tle odbywa się przegląd inny, również sięgający w rozmaite dziedziny życia, przegląd — możnaby powiedzieć — energji żywej czy w dziedzinie życia gospodarczego, czy nauki, czy sztuki, czy sportu, czy t. p. W związku z wystawą odbywa się w Poznaniu szereg zjazdów, narad, popisów.

Wystawa jest zbiorem dzieł, zjazdy są przejawem działalności żywego organizmu, który wytycza dalsze linje pracy, tworzy przyszłość, opierając się na rezultatach, zdobyczach i doświadczeniach przeszłości i teraźniejszości. Jedne z tych zjazdów są bardziej efektowne, skupiają na sobie powszechną uwagę, interesują żywo szerokie tłumy zwiedzających. Inne są etapami cichej pracy, która nie szuka rozgłosu, ale jest jednakże ważną i konieczną cegiełką w rozbudowie naszego państwowego organizmu. Jeszcze inne rozszerzają się poza granice Polski, wciągają w orbitę zainteresowań i współpracy naszych pobratymców, a przez to przyczyniają się do zadzierzgnięcia z nimi silniejszej niż dotychczas więzi.

Oczywiście, zjazdy takie mogłyby się odbywać i bez istnienia P. K. W., bo wszakże odbywają się i tak corocznie czy w zakresie krajowym, czy nawet międzynarodowym. Ale właśnie wystawa jest z jednej strony pobudką do ich organizowania, a z drugiej strony potęguje poniekąd ich znaczenie. Zawodowcy z tej czy innej dziedziny chętnie korzystają ze sposobności, by połączyć przyjemne z pożytecznem, zwiedzić wystawę i odbyć zawodowe narady. Pozatem na tle wspaniałego przeglądu teraźniejszości plany przyszłości zyskują — możnaby powiedzieć — bardziej realny grunt rozważań.

Dzięki imprezom tego rodzaju wystawa staje się tembardziej całkowitym obrazem życia Polski w rozmaitych dziedzinach. Przewidziano ich wiele w ciągu trwania wystawy. Zależnie od swej istotnej treści mają rozmaity charakter: debat, pokazu, współzawodnictwa. Rozpoczął się ten szereg wszechsłowiańskim zjazdem śpiewaczym z udziałem przeszło 18 tysięcy śpiewaków z wszystkich dzielnic kraju, z emigracji, z krajów słowiańskich. Tuż potem nastąpił wielki festiwal muzyki polskiej, świetna rewja twórczości kompozytorskiej oraz najwybitniejszych odtwórców. W międzyczasie obradował zjazd ekonomistów polskich, zjazd nauczycieli geografji, zjazdy bibliofilów i bibliotekarzy. Sport z pięknemi dla Polski wynikami reprezentowały dotąd międzynarodowe konkursy hipiczne, a wszechsłowiański zjazd sokolstwa, organizowany w końcu czerwca, będzie dalszym egzaminem naszej sprawności fizycznej. W bieżącym tygodniu obradują w Poznaniu literaci oraz szereg zawodowców przemysłowych. Obraz polskiego życia uwypukla się w coraz nowych szczegółach.

Poznań. *Rom.*

DROGO CZY TANIO

Władze poznańskie zabrały się z wielką energją do tępienia drożyzny i niesumiennych spekulantów, którzy, korzystając z wystawy, usiłowali obdzierać gości wystawowych żywcem ze skóry. Nie pozostało to podobno bez skutku, a kilka wysokich kar pieniężnych, nałożonych na zdzierców, ochłodziło bardzo znacznie drożyźniane zapały. Ale, jak plotkuje Poznań, same władze nie zawsze umiały się poznać na drożyźnie.

Był więc pono pewien dygnitarz, który nie bardzo dowierzał sprawozdaniom wysyłanych na tereny wystawowe lotnych Komisji Kontrolnych. Zawsze to lepiej naocznie sprawdzić, niż wierzyć komuś na słowo. Wyruszył zatem pan dygnitarz sam na zwiady. Obejrzał przy okazji ten i ów pawilon, raz po raz zachodził to do kawiarni, to do restauracji, to do innego wyszynku alkoholu, aby niby się ochłodzić, niby coś przegryźć, wypić, a przedewszystkiem wywęszyć ceny.

Chodzi i chodzi, a co wyjdzie z którego lokalu, żółć w nim wzbiera ze złości. Nie z powodu drożyzny, gdzież tam! Przecież ceny wcale nie wyższe, aniżeli na mieście, to i owo może nawet taniej.

— Szelmy kontrolery — pomrukuje ze złością — oczywiście, jakieś osobiste porachunki, mszczą się na niewinnych ludziach.

Już przed samem wyjściem z wystawy spotyka znajomego, przyjezdnego. Ten skarży mu się na drożyznę.

— Zaś nie może być. Przed chwilą sam płaciłem w tymże lokalu. Czemużby od pana brali więcej?

— Bo mnie nikt tu nie zna, a radcę wszyscy!

Dygnitarz zastanowił się.

— Hm! Może i racja. Ale teraz już nic nie wiem: drogo czy tanio?



Wzorowa obora z Terenów Zachodnich P. W. K.



Pawilon przemysłu metalowego na P. W. K.



ZE SPORTU.

Wielkie wydarzenia w sporcie polskim

Nieprzerwany łańcuch tryumfów hippicznych. — Nareszcie zwyciężamy Węgrów. — Dwa rekordy. — „Brylanty" w Rydze. — A tennis ciągle kwili niemowlęco!

To, co osiągnęła w ostatnich latach hippika polska, jest jedną z najcenniejszych zdobyczy naszego sportu.

Jesteśmy obok włochów najlepszymi jeźdźcami świata i gościmy u siebie na torze stołecznym drużyny sześciu państw zagranicznych, dla których zdobycie nagrody w konkursach warszawskich uchodzi za wielki sukces w opinji sportowej Europy.

Polacy stanęli do zawodów z imponującym bagażem zwycięstw odniesionych w Poznaniu. Jedenaście pierwszych nagród, jedenaście drugich i dziewięć trzecich, nie licząc dalszych miejsc, zajętych przez naszych jeźdźców.

Pierwszy dzień konkursów rozegranych w sobotę i zacięta walka czołowych kawalerzystów poszczególnych ekip jest najlepszym obrazem niezwykle silnej konkurencji

Po raz pierwszy ujrzeliśmy na stadjonie łazienkowskim ppłk. Karola Rómmla, który dotychczas nie startował w kraju na zawodach międzynarodowych.

Klasa tego jeźdźca jest rzeczywiście imponująca, a Donese, na której przejechał parcours w sobotę, słusznie uchodzi za jedną z najlepszych klaczy konkursowych na kontynencie.

To też nie dziwimy się zupełnie, że autor „listy najlepszych dziesięciu jeźdźców świata", ogłoszonej podobno w Niemczech, stawia ppłk. Rómmla na pierwszem miejscu! Po nim idzie dwuch włochów, czwarte i piąte miejsce zajmują znowu polacy: rtm. Antoniewicz i por. Zgorzelski.

No i włosi! Cóż to za jeźdźcy!

Widzieliśmy ich kilku w konkursie o nagrodę szefa sztabu głównego, gen. T. Piskora, ppłk. Forquet, kpt. Lombardo, mjr. Borsarelli, rtm. Hele, por. Arnowe, a zwłaszcza rtm. Lequio, zdobywca pierwszej nagrody, to kawalerzyści z bożej łaski.

Śmigłość ruchów i lekkość, z jaką konie ich, prowadzone z techniką niewidoczną dla oka przechodzą przeszkody, jest wprost imponująca.

Praca nóg na przeszkodach, harmonijne ruchy wykonywane z niezwykłą precyzją, te nadzwyczajne zalety, jakie można otrzymać tylko po najstaranniejszem wypracowaniu koni, mogą być wzorem (i są zresztą) dla jeźdźców całego świata.

Francuzów, Czechów i Węgrów znamy z poprzednich konkursów. Drużyna rumuńska reprezentuje dobrą szkołę. Widać wrodzone talenty. Jeźdźcy rumuńscy wiedzą doskonale, co to jest hippika, przy częstych startach w konkursach międzynarodowych odegrają napewno wybitną rolę w tym sporcie.

Radosnym dla nas objawem jest szereg nowych talentów w hippice polskiej, które pomimo tak groźnej konkurencji wybijają się na czoło najlepszych jeźdźców.

Mamy na myśli por. Kuleszę i por. Strzałkowskiego. Zajęli oni najlepsze miejsce z polaków w konkursie sobotnim. Są to zupełnie nowe nazwiska w hippice polskiej, dowodzące, że klasa najlepszych jeźdźców naszych powiększa się z roku na rok, wzbogacana nowemi gwiazdami, wyszkolonemi w znakomitej „akademji hippicznej" w Grudziądzu.

W konkursach tegorocznych uderza nikły udział koni polskich, startujących w konkurencji międzynarodowej. Jest to dowodem niebywale wysokiego poziomu zawodów, będących w całem tego słowa znaczeniu — międzynarodowemi. Przytak wysokim poziomie przeciążanie konkursów licznym startem koni polskich, nie posiadających wymaganej klasy, byłoby bezcelowe. Kierując się tą zasadą, organizatorzy konkursów osiągnęli znakomity efekt: każdy konkurs międzynarodowy jest bardzo ciekawy, nie trwa długo i daje przegląd najwyższej klasy jeździeckiej, gdyż każdy jeździec wyjeżdżający na tor predestynowany jest do zajęcia czołowego miejsca.

*

Ubiegła niedziela była radosnym dniem dla polskiego piłkarstwa. Po sześciu, porażkach poniesionych w spotkaniach międzypaństwowych z Węgrami, odnieśliśmy nareszcie wielkie, zdecydowane zwycięstwo.

Był to mecz z cyklu rozgrywek o puhar środkowo - europejski drużyn amatorskich, rozegrany w Poznaniu w obliczu 9 tysięcy widzów!

Dotychczasowy bilans bramek w spotkaniach z Węgrami przedstawiał się dla nas tragicznie: 1 : 19!

Drużyna polska, zestawiona przez kap. sport. P. Z. N. St. Lotha, wykazała wysoką klasę. Po wynikach meczów ze Szwecją w jesieni (2 : 1) i z Węgrami (5 : 1) można śmiało powiedzieć, że poziom naszego piłkarstwa w trzecim roku rozgrywek ligowych poprawił się bardzo. Drużyna polska, „sklejona" („pozornie") z graczy aż siedmiu klubów, przekonała nas o wyrównaniu klasy większości drużyn ligowych, z których prawie każda dysponuje już dzisiaj reprezentacyjnymi piłkarzami.

Rywale nasi w puharze przekonali się, że walka z nami o tytuł mistrza amatorskiego środkowej Europy będzie trudna. Możemy być pewni, że do następnego spotkania wyślą najlepszych swoich graczy i nie będą nas już lekceważyć.

*

Trójmecz bałtycki, rozegrany przez drużyny lekkoatletyczne Łotwy, Polski i Estonji, nie przyniósł nam zwycięstwa, którego zresztą nie spodziewaliśmy się zupełnie.

Zawodnicy polscy nie startowali prawie zupełnie. Długa zima, brak krytej hali w Warszawie, oto powody naszych niepowodzeń w Rydze, okupione dwoma cennemi rekordami Szenajcha i Kostrzewskiego. Ustanowili je lekkoatleci, o których niejednokrotnie mówiono, że nie pokażą już nic „nowego".

*

Miła jest niespodzianka, którą sprawił nam Szenajch. Już od dłuższego czasu głucho było o nim na bieżniach i nagle — 22.3 s. na 200 m., tym trudnym dystansie sprinterskim!

Kostrzewskiemu należy się „piękny ukłon" za cenny rekord na 400 m.

Walczy z tym dystansem od wielu lat. Marzeniem jego jest czas poniżej 50 s. Granicę tej trudnej do osiągnięcia cyfry zdobył w Rydze. Zaprawa zimowa zrobiła swoje.

*

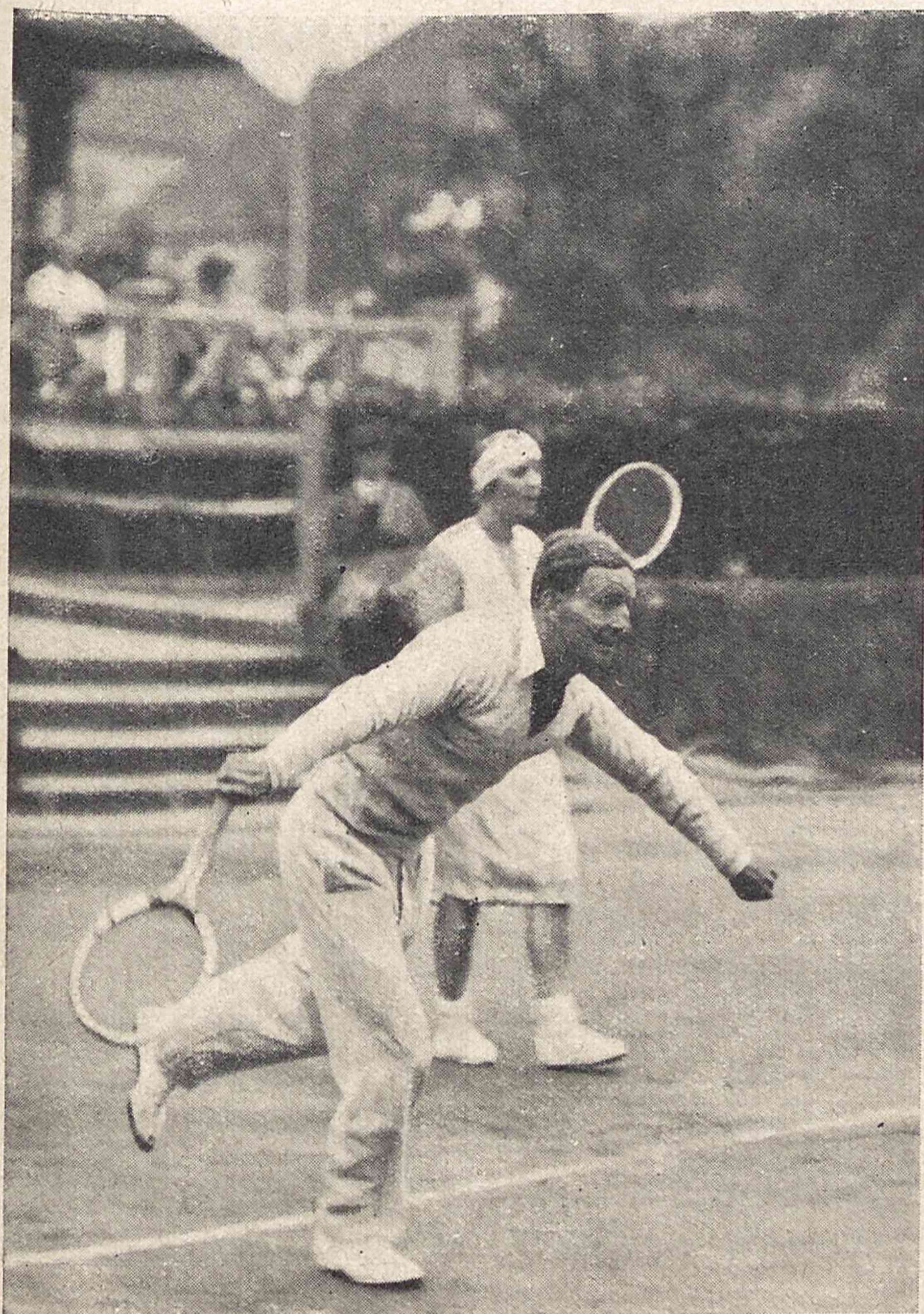
Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie tennisiści!

Po meczu z Anglją, mieliśmy nadzieję, że w turnieju o mistrzostwo Warszawy potrafią sobie wywalczyć kilka przynajmniej zwycięstw, tembardziej, że poza Kożeluhem, gracze zagraniczni nie reprezentują znowu takich niedościgłych wyżyn tennisowych.

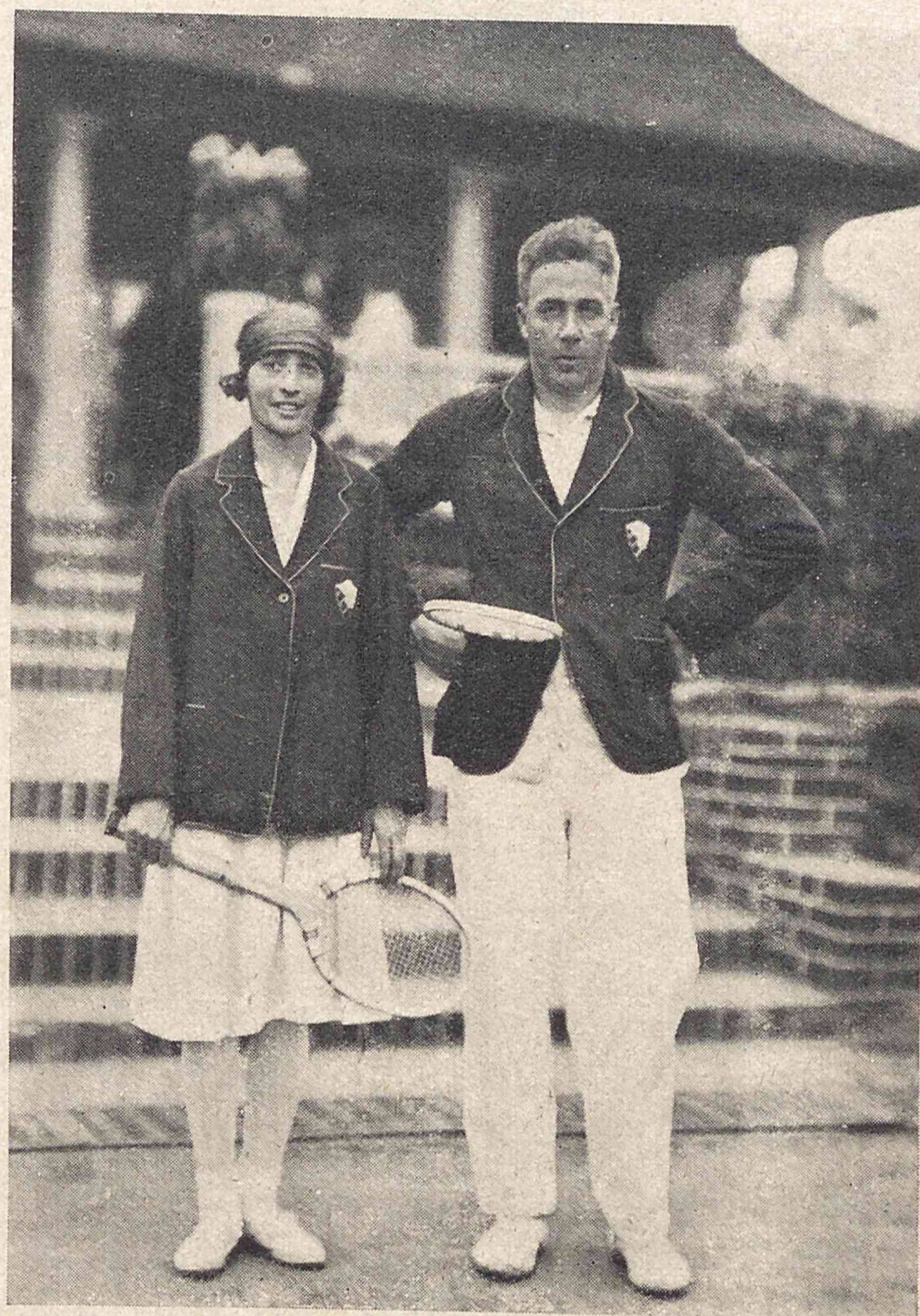
Porażka M. Stolarowa z Greigiem, coprawda po ciężkiej i zaciętej walce w finale gry pojedyńczej panów, potwierdza jeszcze raz teorję o talentach i braku oparcia na szerszych masach polskiego tenisa.

R.

SEZON SPORTOWY: TENNIS I HIPPIKA



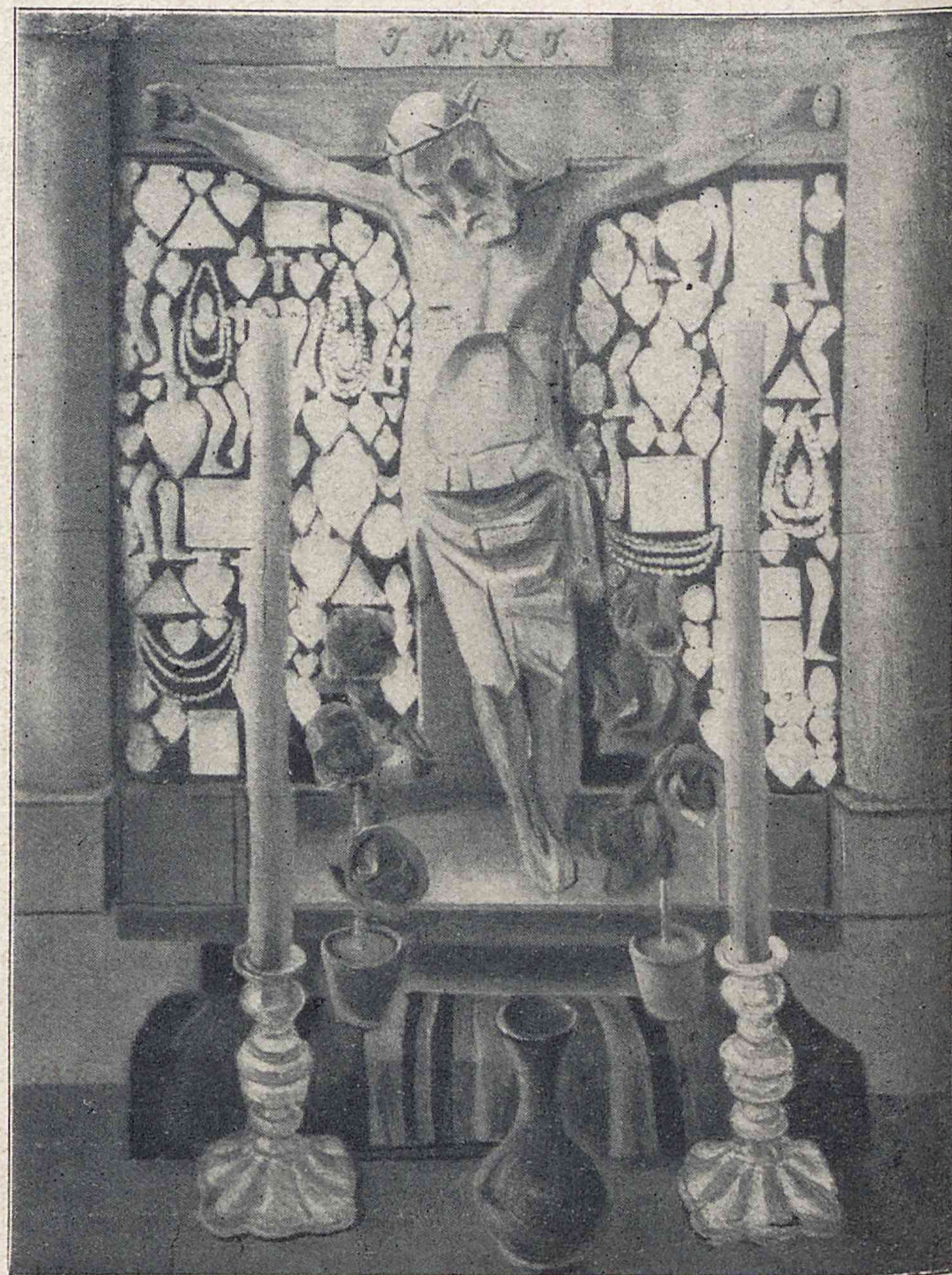
Międzynarodowy turniej tennisowy w Agrikoli



Zwycięska para Finlandczyków Fot. Jan Ryś

Zwycięsca „Derby“ warszawskiego, Madryt, stajni S. Mroczkowskiego, pod Sakowiczem, witany przez publiczność

Z WYSTAWY W MAŁEJ SALI ZWIĄZKU PLASTYKÓW



„GÓRALSKI PAN JEZUS" JANINA PRÓSZYŃSKA

SŁOŃCE — A WŁOSY I CERA

Rozpatrując kwestję wpływu słońca na głowę, uwzględniamy osobno momenty na skórze i włosach. Większość ludzkości cierpi na łupież i inne postacie łojotokowe. Ciepło potęguje owe schorzenia skóry u *uwłosionych*, same zaś włosy płowieją i siwieją często przedwcześnie. Kobiety winny zatem chronić włosy przed słońcem. Naświetlana słońcem skóra twarzy marnieje również przedwcześnie. Najczęstszą przyczyną marnienia włosów są kwasy tłuszczowe na skórze głowy. Częstem *zobojętnianiem* tych kwasów zapobiega się wypadaniu i marnieniu włosów. Do tego celu służy jedynie mycie głowy *Shampoonem d-ra Lustra*, wszelkie inne domowe środki zawodzą lub szkodzą. Samo strzyżenie włosów do skóry jest bez znaczenia. Naświetlanie słońcem *wyleczonej* skóry daje znakomite rezultaty. Kto z mężczyzn nie może zasięgnąć porady u lekarza - specjalisty, niechaj strzyże (nie golić!) krótko włosy przez lato, myje 2 lub 3 razy tygodniowo głowę Shampoonem d-ra Lustra i naświetla skórę głowy słońcem. Przed słońcem chronią twarz kolory: kremowy, naturalny i różowy roślinnego pudru *egzotycznego d-ra Lustra*.

Nakoniec zaznaczam, że odtłuszczenie włosów pudrem lub specjalnemi proszkami, bez mycia wzmiankowanym Shampoonem, jest zgubne.

Dr. Z. B.

DROBIAZGI LITERACKIE

OGRÓD UDRĘCZEŃ.

Z rozgłośnej powieści Oktawjusza Mirbeau pt. *Ogród udręczeń (Jardin des Supplices)* wydobyto i uscenizowano jeden wstrząsający fragment, aby go wystawić w nowym paryskim teatrze o typie grandguignolowym, a nazywającym się *Theatre Saint - Georges*. Ten nowy przybytek Melpomeny nadsekwańskiej należy do dziennika *Comoedia*, to też najświetniejsi pisarze sceniczni chętnie składają dyrekcji tego teatru swoje utwory. Ostatni program teatru Saint - Georges wypełniają utwory Oktawjusza Mirbeau, de Lorde'a, Bernarda Zimmera i Henri Duvernois. W *Ogrodzie udręczeń* występuje gościnnie pani Eve Francis, entuzjastycznie oklaskiwana przez publiczność paryską i gorąco chwalona przez prasę. Dwa lata temu, jak wiadomo, pani Eve Francis z wielkiem powodzeniem kreowała w Paryżu tytułową rolę w *Niewinnej grzesznicy* Wacława Grubińskiego na scenie kameralnego *Theatre Mathurins*. Żyjący jeszcze wówczas de Flers, poświęciwszy wówczas *Niewinnej grzesznicy* duży feljeton, w którym znakomitą komedję Grubińskiego zestawia z komedjami genjalnego Henri Becque'a, zarzucał wprawdzie pani Eve Francis niepotrzebne dramatyzowanie postaci rdzennie komedjowej, podkreślał przecież jej osobisty powab i niepospolitą inteligencję w interpretowaniu trudnej, bardzo trudnej roli fascynującej heroiny polskiego autora. Pani Eve Francis była ulubioną artystką Henri Battaille'a i Francois de Curela. W sztuce Oktawjusza Mirbeau akcenty dramatyczne niskiego, dźwięcznego głosu pani Eve Francis budzą dreszcz i zachwyt.

a. b. c.

DROBIAZGI LITERACKIE

SZCZURY ROSYJSKIE.

W nadnewskiej stolicy, w leningrodzkim Piotrogrodzie, tak się rozmnożyły szczury, że ludzi ogarnia wielki strach. Co to, ludzi! Ogarnia strach partyjnych komunistów! W mieście zbudowanem przez szatanów — według Mickiewicza — czyli w mieście, które na rozkaz Piotra Wielkiego wyrosło z błota nadbrzeżnego, mieszka, plądruje spiżarnie, dewastuje magazyny, dwa miljony szczurów. Bardzo poważnie zalud... zaszczurzenie.

Zaczęto przemyśliwać nad sposobami pozbycia się tych konkurentów do niepełnej przecież miski rosyjskiej. Ani trucizna, ani działalność kotów, nie były środkami skutecznemi. Wreszcie któryś z czekistów wpadł na znakomity, ultrałubiański, hyperbutyrkowski pomysł.

Schwytano kilka wielkich szczurów i każdego z nich zamknięto w osobnej klatce. Głodzono ich kilka dni, rozumując: Jeżeli człowiek, doprowadzony przez głód do rozpaczy, zjada bliźniego, to szczur, stworzenie czworonożne i o wiele mniej kuluralne od człowieka, postąpi conajmniej taksamo.

Do klatki dużego zgłodniałego szczura wpuszczono szczura mniejszego. Duży szczur rzucił się na małego pobratymca, rozszarpał go i pożarł. Odtąd powtarzano ten eksperyment regularnie: nauczono wielkie uwięzione szczury jednego, jedynego menu, a mianowicie, złożonego ze szczurów. Wkrótce wielkie szczury przyzwyczaiły się do jadania tylko szczurów. Te szczurożerne szczury zaczęto rozmnażać. W trzeciem pokoleniu te, po czekistowsku wyhodowane, szczury instynktownie już rzucały się w porze obiadowej na szczury słabsze. Armję tych szczurozjadów rozesłano do dwustu dwudziestu kooperatyw piotrogrodzkich, dziewięćdziesięciu trzech biur, dziesięciu generalnych magazynów, trzech targów i trzydziestu ośmiu innych zakładów. Wypuszczone na wolność szczurozjady „pohulały".

Skonstatowano rzetelne zmniejszenie się liczby szczurów. Teraz zachodzi pytanie, jak zgładzać szczurozjadów, gdy w ich żołądkach znikną wszystkie szczury normalne.

a. b. c.

TRAGICZNY ZGON



Ś. p. Wiktor Konopka-Roland, sympatyczny aktor „Morskiego Oka", ulubieniec Warszawy, tancerz, śpiewak, b. artysta Teatru Letniego, tragicznie zmarł w 32 roku życia podczas wypadku samochodowego w dniu 25 maja r. b. Życie uśmiechało się do niego łaskawie. Rzęsiście oklaskiwany na scenie, jednał sobie dobre uczucia. Złożył daninę krwi w wojnie bolszewickiej, jako ułan pułku krechowieckiego. Tragiczna śmierć śp. Wiktora Rolanda, okryła żałobą niepocieszoną matkę, b. artystkę Teatru Narodowego, wdowę po śp. Teodorze Rolandzie, znakomitym artyście, oraz żonę i siedmioletnią córkę.

HUMOR ZAGRANICZNY:



— *W mojem przekonaniu, żeni się tylko człowiek głupi.*

— *Jak się to stało, że pan nie pozostał dotąd kawalerem?*

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13. (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł.
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski* — Druk Galewski i Dau, Warszawa



JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ ADREMA

JANUSZ WOYCIECHOWSKI

WARSZAWA, NIECAŁA 8. TELEFONY: 215-10, 6-26.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA